

Wojciech Kuczok
Opowieści przebrane

Diabeł

1

widzi cmentarz, kościół i przepierzenie między świątynią a kaplicą, w której ma się odbyć lekcja religii, przed kaplicą grupka rozbieganych dzieciaków czekających na księdza, w przepierzeniu na różnych wysokościach przeprute otwory w kształcie zakonnic, dzieciaki wspinają się po nich, skaczą z wyższych, przez niższe przebiegają, on wchodzi do tej, która jest pod samym okapem, najwyżej, siada i czuje się bezpiecznie, jestem dzieckiem zakonnic, krzyczy, aż Ludzie na cmentarzu odrywają się od porządków i szukają źródła wrzasku, jestem dzieckiem zakonnic, powtarza, a potem zeskakuje, ksiądz się spóźnia, dzieciaki się niecierpliwią, on też jest znużony, zauważa w kącie oponę przywiązaną do zwisającej ze stropu liny, dziwi się skąd tu taka huśtawka, wiesz się na oponie i odpycha od ściany, nagle odzywaj? się dzwony, ty wariacie, przestań dzwonić, krzyczą dzieciaki, ale on jeszcze nie rozumie, taka *fajna* huśtawka, dopiero kiedy przychodzi proboszcz i ściąga go na ziemię, potem bije w twarz i pyta, czyj ty jesteś, czyj ty, gnojku, jesteś, dopiero wtedy wie, że się pomylił, że to nie jego miejsce, wraca

2

widzi przedszkolną jadalnię w porze śniadania, dzieciaki przy stolikach po czworo, po cztery kubki mleka i cztery rogalie grubo posmarowane margaryną, jego kubek jest już pusty, ale zostało pół rogala, ma nim wypchane usta, nie może przełknąć, jest mu niedobrze, inne dzieci już kończą, dopijają mleko i wpychają ostatnie kawałki, rozgląda się po sali. jeszcze tylko on i halinka przy stoliku obok, wie, czym to się skończy, wykorzystuje chwilę zamieszania, kiedy chłopcy zaczynają się tłuc, rzuca rogal pod stół, wszystko w porządku, nikt nie widział, przychodzi pani, wstają i wy-

chodzą leżakować, halinka zostaje ze swoim rogalem, będziesz tu siedziała, dopóki nie zjesz, rozumiesz, choćbyś tu miała spać, ale to zjesz, halinka płacze, ale jego już tam nie ma, kładzie się na leżaku i zamyka oczy, udaje, że zasnął, dzieciaki okładają się poduszkami, on Leży 1 próbuje połknąć papkę, która zakleja mu usta, powoli produkuje ślinę i próbuje potknąć, nagle robi się cicho, do sali wpada pani, wszyscy na zewnątrz, już, wychodzić na korytarz, raz-dwa, on przeczuwa, co się stało, ze strachu prawie dławi się papką, ale wychodzi z wszystkimi, tam ustawiają ich w rzędzie, pani trzyma w ręku bambus, boże, tylko nie bambus, pani ogłasza, że znaleziono rogalik pod stolikiem, że to ciężki grzech gardzić chlebem, że ten, kto to zrobił, zostanie ukarany, ale jeśli się przyzna, to rodzice się nie dowiedzą, no, czekam, kto to, ale dziatwa milczy, więc pani podchodzi z bambusem do każdego z osobna 1 pyta, to ty, może ty, nie, ja przecież siedziałem przy innym stoliku, on stoi ostatni, bambus zbliża się, nikt się nie przyznaje, on ma pełne usta, papka pęcznieje, już trudno wytrzymać, jeszcze jedna osoba, wreszcie bambus zatrzymuje się przed jego twarzą, a może to ty, siedziałeś przy tamtym stoliku, prawda, ale on nic nie odpowiada, tylko myśli, że już nie wytrzyma, i na chwilę przed tryśnięciem wymiotami w kraciastą spódnice pani zauważa przez uchylone drzwi jadalni halinkę, która siedzi bez ruchu przed nadgryzionym rogalem, wraca

3

widzi jogurt, jogurt truskawkowy, kasia codziennie wychodzi na przerwę z jogurtem, codziennie nie może się powstrzymać i prosi ją, żeby dała skosztować, ale ona tylko na to czeka, wypija przy nim do dna i daje mu pusty kubek, a on wylizuje resztki osiadłe na ściankach, liże i myśli, że kiedyś, kiedy będzie tak silny, że ojciec będzie się bał go uderzyć, wtedy będzie kazał sobie kupować jogurty codziennie, tak jak kasia, której mama pracu-

je tam, gdzie się robi jogurty, ale na razie wylizuje i widzi, że dzisiaj kasia ma jeszcze jeden jogurt, podchodzi do niego i pyta, chcesz cały, taka dziwna, no chcesz dostać cały, to chodź ze mną, boże, cały jogurt dla mnie, myśli i idzie za nią, wychodzą na podwórko szkolne, wchodzą między garaże i ona mówi, dostaniesz cały, jak pokażesz siusiaka, no ściągnij spodenki, zdejmuję, mogę dotknąć, pyta kasia, robi się całkiem poważna, dotyka jego ptaszka badawczo, a potem daje mu jogurt, masz, cały dla ciebie, i zostawia go między garażami samego z jogurtem, boże, czy to prawda, otwiera i pije powoli, smakuje każdy łyk z osobna, jakby już nigdy w życiu nie miało go spotkać większe szczęście, czuje chłód, przypomina sobie o siusia-ku, zagląda pod spodenki, czego ona chciała, dotyka, sprawdza, cały dzień bada siusiaka, w domu, przed lustrem, potem pod kołdrą, a kiedy przychodzi ciotka, żeby pomodlić się z nim na dobranoc, zdejmuję kołdrę i pokazuje jej ptaka, ciocia, patrz, co mi się stało, ptak mu stoi, jego mały ślimak sterczy i wygląda teraz jak wyprostowany mały palec u dłoni, w dodatku jest siny jak nos ojca, ciotka wybiega z wrzaskiem, boi się, że zrobił coś złego, ślimak chowa się do muszli, wraca pod piżamę, wbiega ojciec z pejczem, zrywa z niego pościel i bije, coś ty zrobił, coś ty zrobił ciotce, ty pieronie ognisty, ty dioble wcielony, wali go jak starą chabetę, która nie nadaża pod górę, ból jest wszędzie, w każdym kącie pokoju, drze się na całe gardło i płacze, widzi ciotkę, która klęczy przy tapczanie i modli się do obrazka, wraca

4

widzi twarz wściekłego ojca i jego rękę, która ściska go za kolano, a potem wraca, by spleść się z dmgą dłonią do modlitwy, słyszy jego szept z bliska, bardzo bliska, czuje gorące powietrze z jego ust w swoim uchu, pogodomy po mszy, jo ci dom spać na kazaniu, już nie zaśnie, choć jest nie-

wyspany, a do końca nabożeństwa jeszcze dużo czasu, klęka, wstaje, śpiewa, uważa, żeby się nie spóźnić z żadną czynnością, pierwszy wyskakuje do komunii, a potem w ławce modli się długo, najdłużej, modli się do połkniętego kawałka, żeby go ochronił, żeby ojciec zapomniał, żeby nie bil, żeby dal się przeprosić, ale w domu czeka nieuniknione, pejcz, krzyk, Izy i ból aż do wieczora, przez całą noc, do rana, i nienawiść, postanowienie, że jeszcze nie dziś, jeszcze nie teraz, ale kiedyś na pewno, kiedyś na pewno rozliczy się z każdego uderzenia, dokładnie, bez przeoczeń, kiedyś, ale na razie słucha, od dziś co niedziela po mszy będziesz musiol mi opowiedzieć, co farorz godoł na kazaniu, a tak, żebych wiedziol, że do ciebie dotarło, na razie słucha i przez cały tydzień śni kazanie proboszcza, co noc inna wersja, kiedy nadchodzi niedziela, sam nie wie już, co mu się śniło, a co ksiądz rzeczywiście mówił, choć słucha go uważnie, nawet nie drgnie, wyprostowany, słucha całym sobą, jakby uszu mogło zabraknąć, żeby usłyszeć wszystko, jakby musiał wchłonąć homilię przez skórę, prosto do krwi, słucha, ale nie rozumie, miesza, nie potrafi, modli się, żeby zrozumieć, ale już wie, wie, że to nie ma sensu, zna zakończenie, po mszy ojciec zapyta, a on nie odpowie, nie będzie w stanie odpowiedzieć, więc po komunii modli się nie o przebaczenie, nie do połkniętego opłatka, ale patrząc pod ławkę, sięgając pod drewno, pod posadzkę, pod ziemię, głębiej, tam gdzieś, gdzie przewidziano dla niego miejsce po śmierci, tam. głęboko, szuka i wyczuwa obecność, więc modli się, żeby ojciec umarł, żeby nie przeżył tej mszy, żeby serce stanęło nagle i definitywnie, żadnych szpitali, karetek, odwiedzin, tylko zamieszanie, kostnica, pogrzeb, fałszywe łzy nad grobem, a potem wolność, wolność, modli się i czuje kuksańca, siada w ławce i widzi, że msza ma się ku końcowi, że już wszyscy dawno przestali się modlić, a ojciec zdziwiony gorącym szeptem, klejąc wąsy do jego

ucha, pyta, coś ty, ogupioł, co tak dugo sie modlisz, a więc żyje, żyje i wyjdzie z kościoła, i zapyta go, i nie otrzyma odpowiedzi, a więc jeszcze nie teraz, wraca

5

widzi grób matki, nad którym stoi i płacze w wieku lat pięciu, w wieku lat piętnastu, w wieku lat dwudziestu pięciu, wraca

6

widzi cudaka wyskakującego z samochodu i niepewnie obwąchującego nowy teren, cudak jest wielki i kudłaty, śmierdzi stodołą, ma pchły i jest zdziczały, ale ma rodowód, to pies ze szlacheckiej rodziny, rasowa krew, tylko że państwo go zostawili przed wyjazdem i od trzech lat spal z owcami w szopie na plebanii, proboszcz nie ma czasu na psa, i tak z trudem znajduje czas dla owiec, więc go przywiózł, wystarczy przystrzyc i wykapać, pchły się wytruje i pies jak się patrzy, medalista murowany, i oswoi się raz-dwa, zresztą ojciec ma wprawę, ojciec już go wytresuje, proszę księdza, z tym nie będzie kłopotu, cudak biega po ogrodzie i obwąchuje zakamary, siada i się drapie, a potem znowu obwąchuje, duży, duży jest, prawda, ja, synek, wielgi diobol, wielgi, przez noc jest już wykąpany i ogolony prawie do skóry, znosi zabiegi pokornie, nawet nie warczy, daje mu się głaskać, już patrzy spokojniej wokół, przyzwyczajają się do barłogu pod stolikiem, jakby te trzy lata z owcami i robactwem były tylko długim psim snem na kanapie państwa, a teraz się zbudził i znowu o niego dbają, tato, niech cudak będzie mój, prosi rano, dobra, obadomy, mówi ojciec i wola cudaka do kuchni, żeby dać mu żarcie, cudak, cuudak, kaj tyn pieron, szuka, wchodzi do sypialni i widzi psa na tapczanie, ojciec widzi psa na swoim tapczanie i wydaje z siebie coś jakby zdławiony krzyk, jakby był zbyt poruszony, żeby podnieść głos, natychmiast sięga po pejcz, ten sam

pejcz, rzuca się na cudaka, ale pies jest szybszy, robi unik i zdziwiony wydaje ostrzegawcze warknięcie, ojciec jest purpurowy, na kogo ty warcys, ty chuju, ty na pana warcys, jo ci dom, i bierze jeszcze jeden zamach, ale cudak i tym razem unika ciosu, zeskakuje z tapczanu i nagle rzuca się na ojca, błyskawicznie zaciska swoje kły na ręce trzymającej pejcz, ojciec wyje przeraźliwie, ale nie puszcza bata, pies zaciska zęby, ojciec zaciska pięść i ryczy, ryczy jak wół, wszystko trwa wieczność i nie trwa chwili, potem pies ucieka do kuchni, a ojciec, nadal trzymając bat, osuwa się na tapczan, rana jest głęboka, bardzo głęboka, krew zostawia ślady na narzucie. ojciec wije się z bólu, on stoi i patrzy, czeka na Izy. czeka, aż ojciec zacznie z bólu płakać, aż puści ten przeklęty pejcz i poprosi go o jodynę, bandaż, telefon na pogotowie, cokolwiek, zapłacze i poprosi, ojciec wije się z batem, wije się i zaciska zęby, ale już nie ryczy, on podchodzi bliżej, całkiem blisko, bo wydaje mu się, że coś zauważył, pochyla się nad tapczanem, teraz już nie ma wątpliwości, jest, wreszcie, pojawiła się, po ojcowskim policzku spływa jedna zabłąkana i niepowtarzalna, przypadkowo pominięta przez cenzurę, najprawdziwsza Iza, teraz już może odejść, idzie do kuchni, znajduje pod stołem przestraszonego cudaka, ostrożnie wyciąga rękę i głaszcze go, głaszcze i mówi, dobry cudak, dobry, kochany piesek, będziesz mój, wraca

7

widzi marię, która ma czarne włosy, dorosłe piersi i chłopaka, ilekroć widzi marię, włącza mu się prąd w klatce piersiowej, widzi ją w szkole, kiedy rysuje na nudnej lekcji serca w brulionie, kiedy jedząc na przerwie drożdżówkę, ugina nogę i opiera się o ścianę, stoi jak bocian, a spódniczka przesuwają się jej wysoko ponad koła no, prąd, kiedy ćwiczy na wuefie, a on przychodzi z wiadomością dla magistra i widzi jej napięte pośladki, prąd,

kiedy robi skłony, przysiady, prąd, kiedy się pochyla i przez chwilę luźna koszulka odsłania obraz, który zapamięta na długo, który będzie miał przed oczami, brandzlując się wściekle w domu, w pokoju, w ubikacji, na strychu, w ukryciu przed ojcem, który i tak wie, on wie wszystko, przed marią, której obraz jest ważniejszy od niej żywej, przed marią, która nigdy na niego nie patrzy, bo ma chłopaka, ale to jest gorsza maria, me z tą marią idzie na strych, nie tę marię rozbiera w pokoju, nie tej marii wkłada do ust w ubikacji, nie tej marii mówi, że ją kocha, tuląc się do poduszki, ale któregoś dnia sen się przedziera w biały dzień, sen się prześnić nie chce i robi wielkie zamieszanie, maria podchodzi do niego przed lekcją, prąd, mówi do niego, otwierając usta pokryte cienką warstwą dorosłej pomadki, prąd, słyszałam, że masz owczarka, prąd, prąd, prąd, a potem, że to cudownie, bo ona kocha owczarki, i że koniecznie musi go jej pokazać, że teraz jest głupi polski, że ona nie ma zamiaru słuchać bredni o faraonie i mogą iść na węgry do niego, ha, ha, jakie to śmieszne, węgry, jak w podstawówce, to już nie prąd. to jest wanna pełna ukropu, w której zanurza się cały, po sam czubek nosa. ona, maria, idzie do niego do domu, wchodzi po jego schodach, do jego mieszkania, do jego pokoju, o, ładnie mieszkasz, dużo starych mebli, to antyki, tak, a gdzie pies, zaraz zawołam, cudak, cuudak, nie ma cudaka, ale jest ojciec, wchodzi i wita się z marią, całuje ją w dłoń, całuje jego marię w dłoń, maria się śmieje, to takie szarmanckie, tata, gdzie pies, ojciec ma zabandażowaną rękę, ojciec pyta, a lekcji ni macie, dzisiaj nas zwolnili, proszę pana, bo zachorowała nauczycielka, no i przyszliśmy tutaj, bo chciałam zobaczyć waszego owczarka, ja kocham owczarki, mój chłopak też ma owczarka, jej chłopak, prąd, ojciec gniewnie marszczy brwi, odwraca wzrok i mówi, cudaka ni ma, zdech rano, coś musiał zezryć, bo rzigol, a potem zdech, maria ma Izy w oczach, ojej, jaka

szkoda, biedny, tak chciałam go zobaczyć, jak to zdechł, tata, gdzie jest pies. on był zdrowy, nie mógł zdechnąć, godom, że zdech, nie móg, ale zdech. ni ma psa, zakopany w ogrodzie, wybiega z pokoju, wrzeszczy, wyje i biega po ogrodzie, wola cudaka, potem rzuca się na ziemię i ryje w niej gołymi rękami, zrywa trawę, szuka świeżo rozkopanego miejsca, w końcu przypomina sobie o marii, o tym, że prawdziwa maria, przed którą trzeba się ukrywać, jest jeszcze w jego pokoju sama z jego ojcem, który wszystko wie i pewnie właśnie jej mówi, który otruł jego cudaka, wbiega z powrotem na górę, do pokoju i rzuca się na ojca, ty skurwysynie przeklęty, ty przeklęty skurwysynie, bije go na oślep, przewraca na ziemię i kopie w głowę, w brzuch, w jądra, ryczy i kopie, dociera do niego krzyk marii, przestań, przestań, ty wariacie, ty świrze, przestaje, ojciec zwija się na ziemi, brocząc z nosa, czoła i ust, a więc to już, dzisiaj, kiedyś jest dzisiaj, dzisiaj, w którym ojciec leży skopany przez niego na ziemi, w którym prawdziwa maria mówi do niego w jego pokoju, że jest nienormalny, że powie całej klasie, od dzisiaj nie usłyszysz już nigdy słowa z ust ojca ani z ust marii, której dorosłe piersi pozostaną dla niego na zawsze ukryte, która nigdy nikomu nie powie, ale będzie na niego patrzeć tak, że na zawsze odetnie dopływ prądu, że strych, ubikacja i klucz staną się niepotrzebne, bo niczego nie da się już ukryć, ani przed marią, ani przed ojcem, który umrze na zawał dwa miesiące później, na którego pogrzebie będzie sześć osób łącznie z grabarzami, którego za długa trumna zmieści się w grobie tylko dlatego, że będzie padał deszcz i ziemia będzie rozmokła, tych sześciu ludzi, wśród których i on się znajdzie, będzie mogło wkopać tę trumnę do środka, ubijając nogami, skacząc, tańcząc na trumnie ojca, z mozołem wciskającej się pod ziemię, uparcie niechcącej się zmieścić, w deszczowy, zimny poranek, wraca

widzi ojców, bogów ojców, godnych i sprawiedliwych, hosanna na wysokości, karzących i uczących, posepnych i wszechwiedzących, władczych i niedostępnych, powiedz tylko słowo, nieśmiertelnych, nieporuszonych, niewidzialnych, niezłomnych, jam jest jeden, zakazujących, nakazujących, stwórców i niszczycieli, posiadaczy, kaprali, sztygarów, naczelników, dyrektorów, ministrów, sędziów, premierów, prezydentów, imperatorów, widzi przez całe życie, w ojcu kasi, którą spotyka miesiąc po maturze w pociągu i z trudem poznaje, a potem czeka, które pierwsze zapyta, pamiętasz jogurt, a potem spędza wakacje w jej namiocie, w jej ojcu, który nakłaniają do usunięcia, bo studia, nauka, plany na przyszłość, stypendium zagraniczne, wszystko ci opłacę, tylko usuń i rzuć tego gnojka, w jej ojcu, którego wieczorami wywołuje przed dom, który szczuje go psem i policją, który wysyła w końcu kasię do izraela na wieki wieków, w ojcu halinki, której nie poznaje wcale, dopiero po miesiącu u niego na materacu, kiedy leżą w sobie pomiędzy jednym a drugim wyznaniem miłosnym, śmiejąc się, przypominają sobie o przedszkolu, przecież to ty wywaliłeś rogała, a ja wtedy siedziałam do wieczora w jadalni, ale mama mnie odebrała i zrobiła taką zadymę, że tę kretynekę panią wylali na zbity pysk następnego dnia, w jej ojcu, który nie przychodzi na ich ślub i przysyła list zamiast prezentu, żeby wam bóg wybaczył, bo ja nie mogę, w sobie, kiedy jego syn dorasta, kiedy widzi w nim swoje odbicie, a w sobie odbicie ojca, kiedy zaczyna nienawidzić, choć nie wie kogo i za co, kiedy dochodzi do wniosku, że za syna, za siebie, za halinkę, za powtarzalność, za mojrę, za ojcostwo we wszystkich formach, widzi twarz ojca, który wie i czeka na niego, kiedy zakłada sobie pętlę i kopie stołek, zanim halinka zapuka do

pokoju, widzi twarz ojca, która po raz pierwszy jest pełna zrozumienia, idzie więc do niego, bez powrotu.

Cobyś widziol.

A kiedyś tam, kiedyś, za żyda, czyli w dzieciństwie, zaczęliśmy jeździć w góry na wieś na wakacje, mama tata ja; a była to jeszcze ta stara poczciwa wieś drewniana, z kornikowymi chrobotami przed zaśnięciem- Ojciec zamiast baranów liczył po obiedzie sęki. Tam były te ściany drewniane, z poziomych belek; między belkami rzędy słomianych warkoczy - a ja zawsze miałem palce wszędobylskie; wypchnąłem raz, lub też wyciągnąłem, dziurka się zrobiła na wylot do sąsiedniego pokoju, więc oko w tę dziurkę, przez którą chłodek przeciążek i wszystko widoczne z ukrycia. Miałem tedy judasza odkrytego na jasną godzinę, czas kąpieli gaździny; chodziłem więc wierciłem się zaglądałem do kuchni, gdzie w krzyżoka rżnięto, i między meldunki dzwonkowe a winne się wtrącając, pytałem: „Tata, a która już gaździna?”, nawet przejęzyczenia nie zauważając z podniecenia a chłopcy się śmiały i meldowały: „Styrdzieści!”, „Idźże ku izbie, nie trza cie tu!”, „Losimdzieści!”, „E, krucafuks, sto!”, wracałem czekałem i wiał mi z dziurki w oko przedgrzeszny zefirek; myślałem, co to będzie, jak się na to patrzy, czy od tego się nie ślepie; myślałem o Jasnogórskiej z obrazka, która patrzyła w oczy, pod jakim by się kątem stanęło; myślałem o rojach ciem i latających robali, które kotłowały się po drugiej stronie szyby wyglądniałe światła, i nagle pojąłem, co mnie może zgubić tą porą wieczorową: światłol Trzeba zgasić światło! Bo z judasza mojego strumyczek świetlisty sąsiedni pokój przecinali f gdyby wreszcie weszła gaździna toalety zażywać, mogłaby zauważyć ów promień i po tejże nitce dojść do kłębka mojego wzroku i oko w oko spotkać się ze mną przez dziurkę! I złapać

przyłapać wydać na pastwę potępienia! Pobiegłem więc i zgasilem i - och, cudzie - w tejże właśnie chwili za ścianą usłyszałem drzwi trzaśnięcie i kroki i stęknęte miski stawianej na taborecie. Przywarłem okiem do mojego otworku i mrużąc kręcąc się pozycję dobierając, stwierdziłem z rozpaczą, że ta wytęskniona kąpiel się dokona poza zasięgiem mojego wizjera, a nawet dokonuje się już najwyraźniej, bo pierwsze chlupoty stamtąd dobiegały i pierwsze nucenia piosnki góralskiej, i gorliwie zacząłem zabierać się do słomianych klinów dwa metry dalej, bliżej drzwi, tam gdzie się schowała bezwiednie przede mną cała obmywalność, cała mokość, cała gaździ-nowa odkrytość, i szarpałem raz po raz, ale się nie chciały wyciągnąć spomiędzy belek te zatyczki, więc już stawiając wszystko na jedną kartę spełnienia, nie myśląc o zgrozie, zacząłem na nie napierać palcem, wypychać w stronę pokoju gaździny, i dopiero wtedy jeden się poddał, i to poddał tak nagle i gwałtownie, że wystrzelił ze ściany jak z szampańskiej butelki i na swej trajektorii napotkał jakże szczęśliwie punkt, w którym natychmiast potem skupiło się moje przestępcze spojrzenie, punkt, do którego przylgnęło w zdumieniu i zachwycie to jedno, to drugie oko, bo nie chciałem żadnego pokrzywdzić, bo chciałem, żeby oba się napatrzyły i uwierzyły, że Bóg istnieje, bo tylko Bóg mógł wymyślić coś równie niepojętego, jak wielki, okrągły, ze wstydu chłodu sterczący, czerwieniący się wprost we mnie, mający brata bliźniaka równie przytłaczającego swoim jestestwem, sutek gaździny naszej, Hanny Budzyńskiej z domu Pietrasówny, lat czterdzieści i dwoje mającej, która właśnie w tymże momencie mojej zadumy na wieki zapamiętanej, z oburzenia nawet się nie zasłoniwszy, postrzelona w wierzchołek lewej piersi moim słomianym pociskiem, wypowiedziała wprost w moje oko straszliwe przekleństwo: „Ty jancykryście! Żeby ci łocy zbiełały!”

I padłem rażony zachwytem i przerażeniem zbyt szybko następującymi po sobie, padłem na podłogę w swoim pokoju ciemnym i widok rozpamiętywałem, bo odkryłem po raz pierwszy w życiu tajemnicę wiary, nagle pojąłem zapal tych milionów śpiewających dziękczynne psalmy, bo dotąd nie zaznałem Boskiej twórczości w takim nasyceniu, pojąłem więc, że to jest właśnie jęczyczek u wagi, że to ciało zwieńczone takim ornamentem jest przyczyną istnienia całego chrześcijaństwa, że wszyscy, dziękując w modlitwie za doskonałość świata, tak naprawdę dziękują za piersi, za piersi wszystkich gaździn, bo każdy z nich, przejęty do szpiku kości w chwili pierwszego ujrzenia, przypomina sobie nagle o tym, co za cały świat starczało u zarania życia, o wielkiej i opiekuńczej piersi matki, i każdy sobie wtedy uświadamia, że tak naprawdę całe życie jest tylko mniej lub bardziej koszmarnym snem o odstawieniu, że tak naprawdę liczy się tylko to, żeby móc się znowu obudzić i odszukać to miękkie ciepło i wessać się i uspokoić pijąc mleko i już niczego innego nie pić i nie chcieć aż po wieczność.

Leżałem więc na podłodze i wpatrywałem się w ciemność i postanowiłem, że żaden już widok na tym świecie mnie nie zadziwi, że teraz, kiedy ujrzałem już sedno, nie warto w ogóle patrzeć, żeby nie zmącić tegoż cudownego powidoku, który mi się odbił pod powieką i wiedziałem, że nie zaniknie tak długo, aż dopuszczę do siebie światło, postanowiłem więc oślepnąć, żeby na zawsze już pozostać sam na sam z biustem gaździny, który-jak przeczuwałem - w żaden inny sposób nie mógł być mi już nigdy dostępny. Owóż, kiedy wpadli do pokoju i zapalili światło i z wrzaskiem zaczęli mnie szarpać i wypytywać, co narobiłem, było mi już wszystko jedno, bo z wyboru pozostawałem w ciemnościach, bo chciałem już na zawsze przebywać samotnie w tym kinie, gdzie na ekranie wyświetlano wciąż jeden

jedyny kadr; i wpatrywałem się w niego bez pamięci, a tam, na zewnątrz mnie, bili mnie i lżyli, bo nie wierzyli w moją ślepotę, bo myśleli, że udaję, bili mnie więc tym bardziej, ojciec bil, matka trzymała lub też odwrotnie, za to, że się odważyłem, że miałem czelność, że śmiałem: dopiero potem potem, kiedy już się wyżyli, kiedy już dogasały na mnie pręgi bólu, matka zauważyła, że nie reaguję na światło, że mam martwe źrenice, i zaczęli wierzyć, z niedowierzaniem, aż im się Hanna przyznała, że rzuciła klątwę, wtedy dopiero uwierzyli, że nie widzę.

Ściągali lekarzy; ech, co tam lekarze. Chcieli wracać do miasta, to się zbuntowałem, bo wakacje - wiedziałem, że jak zechcę, znowu przejrzę, bo to była moja decyzja o ślepcie, a nie efekt gaź-dzinej klątwy, ale z błędu ich nie wyprowadzałem, jej poczucie winy wcale było mi na rękę. Doglądała mnie w pokoju, przynosiła bryndzę do łóżka i chlebuś ze smalszczykiem i kwaśnicę i w ogóle cymesy specjały, jakbym od jedzenia miał wzrok odzyskać. Matka się temu przyglądała podejrzliwie, nie zostawiała nas nigdy samych, bo choć w klątwę nie wierzyła, czuła, że teraz już musi mieć mnie pod kontrolą, bo mi się niewinność wymknęła przez dziurkę w ścianie i nie wiadomo, jakie demony we mnie to pobudziło, Ale kiedyś Hannie udało się wkraść pod nieobecność rodzicielską i poczułem, jak przysiada u mnie na łóżku i nachyla się nade mną, sprawdzając, czy nie śpię, i usłyszałem, jak pyta szeptem: „Powiedrze, Wojtuś, cy to było warto spojrzeć, zeby sie na takie skaranie Boskie narazić”, i odparłem jej stanowczo i czule, że było warto, po tysiackroć było warto, i więcej nawet jej powiedziałem, otóż wyznałem jej, że gdybym choć raz jeszcze mógł to samo zobaczyć, wróciłby mi z pewnością wzrok, bo tylko dlatego oślepiłem, że nie chcę już żadnym innym wizerunkiem sobie tamtego wspomnienia mieć. Odruchowo dała mi w pysk, a zaraz potem przestraszyła

się siebie samej, tego, że przecież bije kalekę; wstała i niby to chciała wyjść, od prosięcia mnie wyzywając młodego i bezbożnego, ale usłyszałem, że stoi przy drzwiach i jedną ręką kontrolując klamkę, czy aby nikt nie wchodzi, drugą, słyszałem słyszałem czułem, rozpina guziki i wyluskuje pierś swoją wylewną jak Szeroka Jaworzyńska, i uchyla rąbka stanika, uwalnia cyc swój historyczny, doświadczony przez lata dłońmi męskimi we wszelakiej hardości, i wystawia go na widok moich oczu ślepych i sprawdza, czy się nie dokonuje cud, czy to nie jest w istocie ta odtrutka, o której jej mówiłem - i spojrzałem na nią wzrokiem wypoczętym wygłodniałym świata - i wyostrzonymi od ślepoty zmysłami chłonałem ten obraz ucieleśnionej przychylności - i nie przyznałem jej się, że widzę, powiedziałem tylko; „Oj, pani Hanno, coś jak przez mgłę, coś jakbym zaczynał widzieć, ojej!”, i ona zarumieniona i przestraszona schowała zapakowała dobra swoje i już wymykała się chyłkiem, kiedy wyznałem półgłosem, że: „Nie, już nie, chyba jednak mi się wydawało”.

Następnym razem wytłumaczyłem jej, że to nie tak od razu, że trzeba cierpliwie czekać, aż się stopni owo wzrok wróci; lekarz po kolejnej wizycie orzekł, że jest jakby nieznaczna poprawa, można więc mieć nadzieję; rodzice zaczęli się więc modlić, a ja nakłoniłem Hannę, by leczyła mnie konsekwentnie; odtąd więc ukradkiem przychodziła pokazywać mi piersi, na coraz dłużej i coraz odważniej, pytała, czy już choć trochę lepiej widzę, a ja, choć widziałem wyraźniej niż kiedykolwiek, choć chłonałem z osobna wszystkie pory na jej skórze, mówiłem: „No, już troszeczkę lepiej, już jakbym w ogólnym zarysie coś poznawał”, i zaraz potem musiałem ją uspokajać, bo ubierała się zawstydzona, i tłumaczyć, że jeszcze nie jest aż tak dobrze, żeby się miała czego bać, że jeszcze na razie tylko takie plamki okrągłe widzę, tyle co nic. ale to już i tak sukces; pozowała mi więc gaź-

dzina Hanna godzinami w przeświadczeniu, że odczynia własną klątwę i że tym samym dokonuje aktu pokuty za grzech gniewu, którym mnie tak straszliwie naznaczyła. Ja zaś „wyłączałem” swój wzrok na wszystko inne, tylko Hanna była godna moich oczu, tylko ją chciałem oglądać, i chciałem jej oglądać coraz więcej. Zaproponowałem więc, że może postęp będzie znacznie szybszy, jeśli cała się przede mną obnaży; obruszyła się, więc ją zapytałem, czy chce, żebym wyzdrowiał, czy żebym widział tylko trochę - i choć wiedziałem, że wiele ryzykuję, bo w końcu, żeby nie stracić na wiarygodności, po tak radykalnym obnażeniu będę już musiał „wyzdrowieć” - byłem zdecydowany, chciałem przejrzeć tę tajemnicę w całości, chciałem poznać to, od czego zaczynają śpiewać kości, chciałem poczuć, jak i mnie śpiewają; błagałem więc moją gaździnę, by rozebrała się zupełnie do naga i uzdrowiła mnie. Poszła jeszcze rozmówić się z Najświętszą Panienką, bo Jezusickowi Nazareńskiemu wstyd się było przyznawać, a potem przyszła i powiedziała, żebym się odwrócił, bo kto tam mnie wie, a kiedy była już gotowa, pozwoliła mi spojrzeć i zobaczyłem ją wielką i wspaniałą, we wszystkich jej odsłonach, całą naraz obnażoną, i niemal zakrztusiłem się od nadmiaru szczęścia, niemal naprawdę oślepiłem już bez kontroli, bo widziałem jej białe połacie, jej umięśnione nogi, jej wypukły brzuch, jej ciężkie piersi, całą jej bujność hojność obfitość cielesną i poprosiłem, by podniosła rękę, by nie zasłaniała niczego, i wtedy oczom moim cud się ukazał, zwieńczenie jej podbrzusza, zaróżowiona bruzda, a kiedy poprosiłem, by nie zaciskała ud, by stanęła w lekkim rozkroku, to jakby otwarty się usta, jakby tam miała drugą buzię i nadeła wargi w ryjek, nie mogłem się temu nadziwić, i zaśpiewały mi kości, bo to wszystko było pozbawione choćby jednego włoska, a przecież przestrzegano mnie na podwórku, że kobiety mają wąsy zamiast siusiaków; Hanna ogoliła bowiem swoje włosy łonowe,

po to bym się nie zgorszył, a może dlatego że wstydziła się tych siwych, wcale już nie tak pojedynczych; stała więc przede mną i te jej dolne usta jakby chciały coś mi powiedzieć, jakby zbierały się do otwarcia, wtedy wyszedłem z łóżka, uklęknałem przed nią i powiedziałem: „To cud. widzę was całą, gaździno, nigdy w życiu nie widziałem kogoś równie pięknego”, a ona, wzruszona, zaczęła dziękować Najświętszej Paniencie, stojąc tam, jak ją Pan Bóg stworzył, dziękowała mu, że mi przywrócił wzrok, a jako że górne usta miała zajęte modlitwą, zbliżyłem się do tych drugich, żeby je pocałować z wdzięczności, a kości moje chorał już wyśpiewywały, niosła się pieśń we mnie od czaszki aż po łądzwie, a nawet wyrosła mi nowa kość, czułem to wyraźnie; pocałowałem Hannę w te wolne usta, a ona złapała mnie za głowę i przycisnęła do siebie, tak że brakowało mi tchu, i mówiła do mnie z przejęciem: „No mos, mos, cobyś widziol jak sokół, cobyś z tela widziol, jak łezki lecom Plocliwej Skale”, czułem, że pieśń ze wszystkich zakątków mojego ciała zbiega się w tej jednej nowej kości, zdjąłem spodnie od piżamki i uwolniłem tę kość, lecz czułem, że pieśń domaga się więcej, powiedziałem więc Hannie, że jeśli pozwoli mi na więcej, będę mógł patrzeć ludziom przez skórę, że już teraz widzę jej serce, jak się wierci między żebrami, jak galopuje w miejscu, a nawet mogę zobaczyć wnętrze tego serca, i zapytałem jej: „Hanno, czy to możliwe, że widzę tam siebie?”, a gaździna moja na te słowa ułożyła się pode mną na podłodze i pozwoliła mojej pieśni połączyć się ze swoją, wszystkie nasze kości zaśpiewały teraz razem, zgodnym chórem, i śpiewały coraz głośniej i głośniej, aż wspólnie usłyszeliśmy tę jedną nutę najwyższą, która się z nas poczęła i wypełniła cały pokój, całą Bukowinę, całe Podhale, cały świat, a kiedy usłyszała ją może i Najświętsza Panienska, zasnęliśmy jednym snem dzielonym na dwoje.

Pieron ognisty

-Jeżeś, Jeżeś, on znowu dzwoni, no dejcie spokój, kro te rachunki popłaci - głosem kuchennym, odważnym dzięki przymkniętym drzwiom, które można w chwili niebezpieczeństwa szybko zamknąć, oznajmia Luiza niejako *a part*, mając Jezesia za publiczność. Jezesia. od którego oczekuje zrozumienia i kary doczesnej dla grzesznego wnuka, dzwoniącego, używającego nagminnie diabelskiego wynalazku do szeptania świństw, przekleństw, do kłamstw, do cudzołóstwa przy-woływań, do złego, tylko do złego, wyłączyć by to, oddać, po co mi telefon, trzeba oszczędzać, a jak tu oszczędzać przy takich rachunkach, muszę zaraz zawołać Antka, niech mu da po pysku, wisusowi jednemu.

Witold połyka obelżywą ripostę, chcąc uniknąć nieekonomicznej potyczki, nie ulega prowokacji, podchodzi tylko do drzwi kuchennych, wyjmuje klucz (jakiż fart, że w tym domu klucze są w każdym zamku), zatrząskuje i zostawia Luizę z garami i Radiem Maryja. Luiza tryska jazgotem samobronnym, wali warzechę, szarpie klamkę, ach, ona mu pokaże, pysk mu obije, żebyż zamknąć w kuchni, to diabeł w ludzkim ciele, Antoś, Antooś, gdzieżeś, Witek mnie zamknął

Ale Antoś biega po parku, musi gdzieś wybiegać swoje ciężkie sny, musi wybiegać swoje pokracznie małe stopy, telepiące się dłonie, oblany egzamin na akademię przed dwudziestu laty, Joannę, która czekała całą noc, ale w miesiąc później była już prawowitą własnością Jana, jego najlepszego przyjaciela, musi wybiegać gdzieś sny, którymi w końcu skazał go na szafot (Jan stracił głowę na poziomie sześćset w trzy lata po ślubie), Joanna została z małym Antkiem, została i znowu czekała, może jeszcze czeka, ale czas płynie tak szybko, nigdzie nie można zdążyć, nie ma po-

śpiechu w tych, to jest w innych sprawach, moje płaskorzeźby, wciąż nowe zamówienia, no i mama taka schorowana, poza tym mam przecież przyjaciół, ech, biegać, wybiegać to wszystko, co słyhać za ścianą u Witka, kiedy sprowadza te młode kurewki, nie mam czasu, żeby się nim zająć, pogrozić czy co, nie mam nawet na to czasu, więc skąd miałbym znaleźć na. na, wybiegać to.

Nie ma Antosia, jest tylko krztusząca się śliną Luiza za drzwiami, można więc dzwonić, wywołać Tanię, o tej porze zmywania z siebie lepkich tramwajów, sprawdzania, czy już się zaczęło, czy jeszcze jeden dzień opóźnienia, jeszcze jeden kęs niepokoju {bezużyteczne tampony parzą dłonie nerwowo szukające papierosów w torebce, jeszcze dwa dni, góra dwa dni, potem zrobię test. Boże, o czym ja w ogóle myślę, dlaczego Witek nie dzwoni, miał dzwonić), więc dzwoni.

- Pragnę cię. Przyjedź. - Chowa słuchawkę pod koszulą, osłania, ale i tak ryk Luizy dociera, musi docierać. ..Niech słyszy, niech słyszy ta twoja lampucera, co robisz z babcią, on mnie zamknął w kuchni! Proszę powiadomić policję i pogotowie psychiatryczne!"

- Dlaczego babcia używa tylko wyrazów na "p"? _ wtrąca, a Luiza rezonuje ze zdwojoną energią: „Nie pyskuj!!! A pani śmierdząca noga niech w tym domu więcej nie postanie!! Słyszysz pani!! Jeezeeś!!!"

-Powiedz jej, że słyszę. I że jak coś komuś śmierdzi, to jej zgnile sumienie.

-Taniu. skarbie, nie zwracaj uwagi.

-Nie przyjdę do tego domu wariatów. Czekam na ciebie w Kameralnej. Jest problem do omówienia.

"Jest problem do omówienia, problem, problem". Ton protekcyjnalny zwykle nie wróży bezbożnych splątań, to nie jest zapowiedź wilgotna. Milczenie niepewnie przekracza barierę jęku, dłonie wyłuskują groch słów, poje-

dynczo stukających o blat stolika, jak łyzy, których jeszcze nie ma o co przelewać w próżne, ale być może trzeba będzie, bo widzisz, „jest problem”,

-Ach tak. Jakieś białe wytrawne, dwa ra..., jak to, nie pijesz, dobrze, więc dwa soki poproszę.

„Jest problem”. Palce, uspokoić palce, stopą wodzić bezczelnie pod blatem,,.

-Przestań mnie macać i tak się gapić, bo stąd wyjdę i nic ci nie powiem.

-Dobrze, mów, ale najpierw muszę cię pocałować.

Dość. Tania zrywa się (różowa i ugotowana, wystarczy lekko stuknąć i zdjąć skorupkę, potem delikatnie utorować drogę do żółtka), ach, musi mieć prawdziwe kłopoty, skoro tak się broni, dobra, dobra, siadaj, tylko nie mów, że jesteś w ciąży.

-Jestem w ciąży - mówi i czeka na odzew.

- Och, najmilsza, to cudownie, kiedy ślub? - cynizm niemaskowany; wyczula, wie, że on wie, że to próba, nabrzmiewa wrzód kłótni, zrywa się wicher wyjący, zaraz ją wymiecie razem ze stolikiem, garderobą, wróci po torebkę, potknie się albo złamie obcas, wytrzyma do drzwi, żeby makijaż mógł spłynąć w ciemności bocznych ulic, którymi będzie wracać do domu, tym wolniej, im bardziej tracić będzie pewność, że za nią biegnie, że zatrzyma, przeprosi, niedoczekanie.

- Kpisz, prawda? Myślisz, że chcę cię wypróbować?

Który to już raz, dziecino. Chcesz mi powiedzieć, że tym razem naprawdę, że kobieta to czuje, że się boisz, że ze mną to nigdy nie można poważnie,

- Mam taką nadzieję - odpowiada Witold i już go tu nie ma, przy stoliku, niepotrzebną kobietę z niepotrzebnym problemem zostawiając, szuka gdzie indziej, pod innym numerem, w innej opowieści. Jeszcze siedzi i słu-

cha. Tania coś mówi, tak, udawała, ale okres jej się opóźnia i nie wiadomo, co z tego będzie, „jak to co. co miesiąc ta sama historia, szczerze mówiąc, mam tego dosyć, zdecyduj się, czy chcesz rodzić małych katolików w rocznych odstępach, czy chcesz się pieprzyć, bo jeśli tak, to wyobraź sobie, że są takie pigułeczki, wiesz, takie kolorowe, można je połykać, spytaj koleżanek, to ci wytłumaczą, to całkiem proste, może zrozumiesz”, „ty chamie, ty podły prymitywie, i ja miałabym mieć z kimś takim dziecko, och. zostaw mnie. wynoś się stąd i więcej nie przychodź, nie dzwoń, to koniec, och”, „służę uprzejmie, tylko uważaj na makijaż”, „wynoś się!”, więc idzie pod prąd. pod prądem, przedziera się przez powietrze, byle dalej, byle nie było słycać tętna, a wszystkie drogi prowadzą do gniazda, tyle że i ono obmierzło; staje pod drzwiami i nasłuchuje, dwa komary natrętne, slowotok Luizy i Antoniego, ich lista pomysłów na egzekucję Witolda, o nie, nie zaszczepił się jeszcze przeciwko wściekliwości, nie może ryzykować pogryzienia, jest przecież zawsze kilka ofert wieczornych, z których można skorzystać darmowo, idzie dalej, dużo dalej, zwalnia dopiero, kiedy czuje łagodne stygnięcie.

Nie, Gabryniu, wszystko w porządku, tylko mi w domu mózg czeszą pod włos, mogę przyjść, tak jak się umawialiśmy, jakie koło, jaka mediana, mój Boże, co za niezgrabna hiperbola, hi-per-bo-la, nic, źle cię słycać, w łóżku ci wytłumaczę, nic obraźliwego, proszę, pozwól mi przyjść, będziesz

mi mogła zrobić obróbkę cieplną, tak jak lubisz, będę posłuszny, obiecuję, dobrze, tylko na godzinę, tak, całuję, pa - Witold odkłada słuchawkę i smakuje nowe zakłęcie, „koło z mechany”, abrakadabra kolozmechany, Kolozme Chany - hm, wieś albańska, tysiąc dwustu mieszkańców, Kolo z Mechany - rzymski myśliciel, twórca metafizyki kwantowej i autoeroty-

zmu moralnego, niech żyjesz, studentko metalurgii. Co się pieklisz, babsz-tylu, nie moja wina, że co drugi automat zepsuty, ja też mam sprawy życia i śmierci, czy są jakieś inne, jestem samotny i zagubiony, nikt mnie nie kocha, w dodatku nie służy mi tutejsze powietrze, jak się zaciągnę, to rzygam, rzygałaś tak kiedyś, żeby się przerzygać na drugą stronę, no i co mi stukasz, ach, dobrze, przepraszam, już wychodzę, rączki całuję, nie warto, nie ten zestaw perfum, nie będę z tobą wstępował w związek dialektyczny, nie liczyłem na epifanię seksualną na poczcie. Brr. zimno, mokro, gdzie to mieszka nasza Gabrynia, tramwajem by trzeba podjechać, ładnie się ta latarnia w kałuży odbija, gdyby nie było tak zimno, warto by postać, kałuża, kałuża, co to z tą kałużą ostatnio, ach, Sławomir opowiadał swój sen, letni skwar w jakimś wyludnionym mieście, idzie po wysuszonej ulicy ze swoim ojcem, pył się unosi z każdym krokiem, powietrze twarde jak prekambrijski koprolit, idą, ciężko, duszno, pić się chce pustynnie, ojciec przeciera pot spod kapelusza, na horyzoncie mającą optyczne kałuże, ale jedna z nich istnieje naprawdę, zbliżają się, piękna, duża kałuża pośrodku suchego duktu, ojciec zdejmuje buty i skarpety, podciąga nogawki i wchodzi do wody, a raczej wpada, znika natychmiast, wciągnięty w kałużową czarną dziurę, zostaje tylko kapelusz unoszący się na powierzchni, miasto staje się sławo miro żernym molochem, nie pozostaje nic innego, jak tylko obudzić się z krzykiem, uświadomić sobie, że ojciec nie żyje od dekady, a za oknem ptaki rozdziobują strup kaca.

Oddychanie do siebie, w sobie, *post coitum*. - Wituś, Witeczek, Witulek, Witanek mój - mówi ona, która ma imię, której zbiera się na języku słodka wdzięczność, która nagie czuje w sobie centrum, która przez chwilę rozumie tajemnicę istnienia, która jest kwarkiem, monadą, prajednią, big bangiem, która wszystkie rozумы przejmuje dreszczem, której dzwonią

wszystkie kościoły świata, przez tę chwilę, dla tej chwili, dla której warto zgasić światło.

- Gabryniu. przepraszam, że mącę nastrój, ale czy nie jest już trochę za późno, żebym zdążył na ostatni tramwaj?

- O Boże! Moje kolokwium, nie zdążę się nauczyć! - Oto jest koniec nabożeństwa, zapala lampę, patrzy na zegarek, łapie się za głowę, szuka majtek, „Matko Boska, całą noc zarwę, musisz stąd iść, matka się wścieknie, jak zostaniesz”, *da capo al fine*, kiedy Witold z ulicy będzie spoglądał w jej okna, ale żadnych pożegnań mimicznych nie będzie, studentka z przypadku Gabriela T, będzie się uganiać z bacikiem za niesfornymi myślami, będzie je skutecznie tresować, jak Iwy w cyrkowej klatce, wyrwane w środku nocy do nieoczekiwanego treningu, rozdrażnione, rozkojarzone, będzie biegać bezładnie oczyma po tajnikach mechaniki, ale niechciane rumieńce nie pozwolą się skupić ani zasnąć i wyłoży się na sprawdzianie, i poczuje boleśnie, że całość ma swoje centrum gdzie indziej, i że nie rozumie niczego, a tym bardziej spraw tajemniczych, i Boże, jaka ja jestem głupia, wyleją mnie na pośmiewisko i skończę jak handlara albo garkotłuk, tak jak mówiła mama, jak ja się tego nauczę, a wszystko przez niego.

Śnieży. Lawiny pyłówki z dachu. Jeszcze wczoraj mokry szmelc, kałuże, lukrowany latarniami asfalt, a dziś śnieży. Widzisz, robaczku, już dwie pory roku, jak cię wywiało z gniazda. Luizo-antós już pewnie ma nadzieję, że umarłeś na piorun ognisty z nieba ci należny albo ostrze w ciemnej bramie po rękojeść się zanurzające. Lament telefoniczny, drogi, międzynarodowy, już pewnie odbyty:

„Marysiu, córeczko kochana, proszę cię, przyjedźcie po tego andrusa. powiedz Jasiowi, że ja już zawału dostaję przez niego, no co on wyprawia, ludzie na świecie, dzwoni bez przerwy i sprowadza tutaj takie furlepy, że

to się w głowie nie mieści, Jeześ, Jeześ, ani nic się nie uczy do tych studiów, na wykłady nie chodzi chyba, no bo jak śpi do południa, to kiedy ma chodzić, jak Boga kocham, ja już dłużej tego nie zniosę, a Antoś też ma go dosyć, tylko się cały czas wstrzymuje, żeby mu nie przylać, no i biega bez przerwy, już te nerwy go całkiem spalają, bo jeszcze nigdy tak nie biegał, nawet po ulicach biega, ludzie zaczynają gadać, a ten wisus Witek ciągle pyskuje, serca nie ma, pyskuje babci i wujkowi, żadnego szacunku, no a wczoraj, Jeześ, mnie się już duszno robi, wczoraj to mnie wziął i zamknął w kuchni na pół dnia, ty sobie wyobrażasz, myśmy chcieli z Antosiem na policję dzwonić, bo to przecież normalnie nienormalne jest, żeby mnie zamykać na klucz i nie wypuszczać, cały dzień w kuchni przesiedziałam, znaczy pół dnia, a jak mnie Antoś wypuścił, to się aż popłakałam, no i postanowiliśmy, że gamonia na noc do domu nie wpuścimy za karę, ale ty sobie wyobrażasz, on nawet nie przyszedł, tak jak mnie zamknął po obiedzie i poszedł, tak go nie ma do teraz, gdzieś się szlaja, nawet do domu nie wraca, to ja się pytam, co to za wnuk, kiedy on nas wszystkich tak traktuje, Marysia, a może wy byście mnie przysłali te Witkowe marki, ja bym mu wydzielala, nie, nic bym dla siebie nie wzięła, ale dostawałby tylko, gdyby powiedział na co, no powiedz, nie szkoda ci chłopaka zmarnować, Jeześ, Jeześ, córciu kochana", ale Marysi jest bezpiecznie w pustym, dalekim akwarium z jednym zapracowanym samczykiem, akwarium urządzone i odkażonym z pedanterią wyuczona w nowej ojczyźnie, Marysia zna cenę świętego spokoju, kocha syna, ale najlepiej jej to wychodzi na odległość, pamięta doskonale strach rosnący z każdym dniem, kiedy dziecko zaczęło dojrzewać tak szybko, za szybko przestało być cudownym, mądrym tłuścioszkiem, kiedy przestało zadawać dziecinne pytania i zastąpiło je takimi, na które ze wstydem nie znajdowała odpowiedzi, kiedy skończył się

jej repertuar bajek skutecznie kojących nocne lęki, kiedy zaczął się oddalać w swoje wiersze, swoich filozofów, swoje zamyślenia, kiedy po raz pierwszy podniósł głos na ojca, używając słów, których potem nie mogli znaleźć w słowniku, kiedy przyprowadził pierwszą taką chudziutką, ale zaraz potem inną, i jeszcze inną, „ bo ja, mamusiu, ciągle szukam”, kiedy zdał na studia, których kierunek nie mieścił się w głowach ludu pracującego, „jak? etnografia? to pewnie coś dla pedałów”, pamięta wyrzuty sumienia, jakie wzbudziła w niej ulga, ulga, którą poczuła wbrew sobie, wbrew instyktom, wbrew powinnościom, kiedy powiedział, że zostaje w kraju, że będzie mieszkał z babką i niech się o niego nie martwi, wyżyje ze stypendium, wyrzuty sumienia, które spłaca regularnie w wysyłanych pocztą dewizach, w listach, w telefonach kontrolnych, „jak ci się żyje, wystarcza ci pieniędzy, a babcią się nie przejmuj, ona już stara jest i nic nie rozumie, postaraj się być dla niej dobry, to w końcu dzięki niej masz dach nad głową, wujkowi też w drogę nie wchodź, bo to dziwak, wiesz, stary kawaler, z tym bieganiem ma fioła, pewno ci zazdrości tych dziewcząt, pa, całuję, napiszę, zadzwonię, tatuś cię pozdrawia, masz mu napisać, jak grali nasi chłopcy, podobno grozi im druga liga, no to już kończę”.

Śnieży, robaczku. Szczeniaki szaleją po podwórkach.

- A wy to co, chcecie tu przezimować? -pyta Witold, wydechając parę, rozcierając dłonie, pociągając nosem, - Na kość przemarzłem w nocy.

-Nie mamy wyjścia, stary - odpowiada Sławomir znad zlewu, poranny mors Sławomir, poeta o brodzie dostojnej, dzięki której oszczędzić można zbędnych wydatków na krem, pędzel, maszynkę *etc*, -To jest najtańszy lokal w okolicy.

Witold rewiduje tomiska, zastępujące wyposażenie mansardy; książki stoliki, książki biurka, książki pościel, zimne książki, niejadalne książki.

-Ale grzejnik byście sobie mogli pożyczyć.

- Nie marudź, misiu. Trzeba się hartować, jak przymrozi, to Egon przygrucha jakieś śmieciary, żeby nas grzały dupami.

Sławomir wyciera się wilgotną szmatą i zaprasza Witolda do toalety.

- Dobra, myj się, jak chcesz, i wychodzimy.

- Ostatecznie możecie palić książki. - To nie był dobry dowcip {Sławomir patrzy spode łba), nie, nie będzie się mył, nie będzie z niczego korzystał, nadużywał gościnności.

- Dzięki za schronienie, odwdzięczę się kiedyś.

Zdjęcie na ścianie, zakurzone! drobna, czarna, z dużymi smutnymi, otulona kocem, z książką w ręku, patrzy w obiektyw.

-Co za jedna?

- Poprzednia lokatorka, Ale nie licz na nic, misiu. Zdefektowana. Palma, znaczy się. Wiesz, z dnia na dzień, stary, iluminacja, ścina włosy, rzuca studia, idzie do zakonu czy sekty jakiejś, nie wiem dokładnie, po dworcach szuka bezdomnych, ściąga na darmowe zupki, odjechała na zawsze, mówię ci.

Szczęk klucza, schody, mokry śnieg sypie się za kołnierz, bar mleczny, kakao, jajecznicą, bulka z serem, mlaskanie, mleko na wąsach (iluminacja, powiadasz), uliczna magnateria zamawia bigos (odjechała na zawsze), ile dni się trzeba nie myć, żeby tak śmierdzieć jak myślisz?

- Nie wiem, misiu - Sławomir wyciera nos serwetką. - Ja będę już musiał lecieć. Wpadnij, jak co.

Zapina się. wstaje, odnosi talerz, wychodzi.

Idź już, idź. Spiesz się do użyteczności. Niech ci się wiersze ładne i mądre pisra. z ideą koniecznie. Dostaniesz w końcu nagrodę za „liryczny wizerunek naszej nowej rzeczywistości" i będziecie sobie mogli kupić grzej-

nik albo nawet mieszkanie z centralnym. Uczęszczaj na spotkania autorskie, nawiązuj kontakty, podsyłaj teksty, koresponduj, bywaj, pokazuj się, wypijaj bruderszafty, jak trzeba, dawaj dupy, a jeśli mimo to etę nie docenią, zawsze możesz wypłynąć na krytyce, napisz pamflet na jej największego wieszca, nazwij go kabotyńcem, idolem gówniarzerii, włóż kij w mrowisko, na pewno ci się uda. Jesteś przecież miody i płodny, masz takie śpiewne rymy, deklamuj, włóż garnitur i deklamuj, powiedz wszystkim, że poezja jest twoją religią, że jest święta i drwić z niej nie wolno, aha, i koniecznie zgól brodę, kiedy już uznają cię za swojego, z braku konkurencji,

- No i jaki jest - pyta Witold, wynurzając się na piaszczysty brzeg *plateau*.

- Słodziutki - kłamie Gabrynia, wypłukując resztki spermy wodą mineralną.

- Każda mówi co innego.

-Co. Pytam cię, co.

Miłość nie. Miłość czysta, pierwsza, zdobywana miesiącami, krok po kroku, od delikatnych dotknięć dłoni, włosów, przez niezgrabne pocałunki ze zderzającymi się zębami, z niesfornie wymykającymi się w stężenie uśmiechu wargami, z cmoknięciami niemającymi wiele wspólnego z prawdziwym, głębokim, oglądanym w telewizji pocałunkiem, z obowiązkowym listkiem figowym ciemności podczas pierwszych uwertur pieszczotliwych, przez ubranie nabywanej *episteme*, nocy nieprzespanych z winy zapachów, którymi przesiąkała garderoba, pierwszych odsłoneń płochliwych, niepewnych siebie, z interwałami na dni powszednie, pojedyncze, przeczekiwane, przetęsknione, zapisywane listami i poematami, z modlitwą do cudzych bogów o „zawsze z nią”, o „aż do śmierci”, o „niech nigdy nikogo innego”, o „niech się już stanie”, z wyczekiwanymi wyjścia-

mi rodziców do kina albo na urodziny, z tymi dreszczami, których już nigdy potem, taka miłość na początku i na wieki wieków nie, już nie. tylko raz. Korzystanie regularne z ofert podskórnych, lepkich, gotowych, dostępnych, otwartych, pierdzących bezwstydnie wtlaczanym powietrzem, pojemnych, zachłannych, to też nie. Poezja nie, bo wiersz musi mieć adresata. Wiedza nie, bo im więcej wiedzy, tym nadziei mniej. Bóg; na miłość boską, Bóg nie. Powinności, sumienie, przywiązanie - nie, nie, nie. Oświeć mnie, odnów mnie, zbuduj mnie. Co. Pytam cię, co ma być tym moim światłem?

- Łaska Pana naszego jest wszechmocna. Musisz wierzyć, że Chrystus cię kocha i czuwa nad tobą. Zaufaj mu i powierz mu swoją grzeszną duszę - mówi drobna, czarna, z dużymi smutnymi, otulona w habit, z Biblią w ręku, patrząc w twarz Witolda, który nie widzi w niej niczego, co usprawiedliwiłoby przyjście na ten dworzec, nie widzi odpowiedzi na pytania, nic poza tępym spojrzeniem kobiety odartej z płci i rozumu, nie słyszy nic poza pociągami dającymi na zapowiedzi, kibicami pożytkującymi akustykę głównego hallu, nie czuje nic poza smrodem bezdomnych, nie czuje powołania ani współczucia dla tej biednej wariatki, Sławomir miał rację, nie ma tu czego szukać, więc gdzie, jak, w czym, w perfumach mijanych kobiet, w ich płaszczach, obcasach, krokach, w spisie niepotrzebnych numerów telefonów, wizytówkach, zdjęciach z wyznaniem na odwrocie, dozgonnymi, acz zdezaktualizowanymi, w banknotach, we wszystkich papierach bezwartościowych, które wyjmuję z portfela kolejno i wrzuca do studzienki kanalizacyjnej, a potem, nie czując się jeszcze ani trochę lżejszym, idzie coraz szybciej, za miasto, za rogatki, za wysypiska, szybciej, truchtem, wreszcie biegnąc równym tempem alejami parkowymi, przed siebie, już z prądem, z wiatrem, czując przyjemne tarcie, czując, jak pędzące po-

wietrze zmywa z niego obywatelstwo, tożsamość, strach, zmysły, czując, że wystarczy biec, że póki biegnie, jest bezpieczny, bez miłości, dreszczy, poezji, wiedzy, Boga i wszystkich myśli, które tyle ważą, a które wystarczy po prostu wybiegać, biegnie i widzi Antosia, a za nim jeszcze kilku obcych mężczyzn, i jeszcze innych, wszystkich biegnących z taką samą błogością w oczach, z takim samym ukojeniem, więc i on może je osiągnąć, jeśli tylko będzie biegł, długo biegł, więc biegnie.

Ttadzik

Hop, hop, hej, hej, Tadiusiu, niech drgnie twoje oko, jak śpiewa nasz ulubieniec, uważaj, zażyj kropli na żołądek albo ziółek się napij, albo zaśnij po prostu, śnij co bądź, byle twardo, bo myślę o tobie, bo opowiem o tobie teraz.

Ach, stajnia wujka Jaśka, cóż to był za widok, kiedy Murzyn wyciągał tego swojego, hi, hi, żeby się wyszczać, ach, było podglądanie z dziewczętami, a te głupie podpuszczały, żebyś dotknął. Taki koń to ma, kurde. Albo świni, która nie zasłużyła nawet na imię, bo to tylko świnią zwykłą, do koryta nasikać, a potem patrzeć, jak się podnosi z kąta chlewu, podbiega i chłepcze, ale jajca, głupie świńskie ryło. Ale wszystko to nic przy podpatrywaniu ciotki Heli, jej twardych rąk, szorstkich dłoni, magicznych poruszeń, prawa-lewa, sik, sik, co, Tadziku, chcesz podoić, chodź, nauczę cię. Nie, nie, ciociu, wolę patrzeć, mówiłeś, ale myślałeś, ciebie bym podoił, ciotucho, i kiedy tylko schyliła głowę ku wymionom Winochy, patrzyłeś tam, gdzie ciotka kryła swoje wymiona, wysrane już przez trzy córki, ale wciąż pełnomleczne. Ciotka była góralskim cudem natury, mamko-

wala wszystkim sąsiadkom, polowa wsi piła jej mleko, bo co miała z nim robić, kiedy od rana zbierało się na nowo, przez całe lata, i nawet wujek Jasiek codziennie musiał na czczo spijać, jeszcze przed pacierzem, przed wstaniem z łóżka, a i tak piersi miała nabrzmiące i pełne, aż wreszcie doszedłeś do wniosku, że skoro ciotka ciągle niewydojona, to musi ją boleć i pewnie to ona tak ryczy z pola, kiedy wieczorem po krowy idzie, a niesie się ryk aż po Hawrań.

Ale nie tylko stajnia, bo i kuchnia, obejście, pokoje gościnne, wszystko pachniało zielskiem i drewnem, a nad wszelkie inności wybijało się mmleko, nadmiar mmleka, który ten dom nawiedził jak niechciane błogosławieństwo, ale we wsi mówili, że to święty znak, że tylko szczęście z tego być może, bo jak jest mmleko, to nie ma głodu, a głód może przyjść raz-dwa, jak zaraza, i jeszcze się schodzić wszyscy będą do wujostwa na żebry.

Ale co tam ciotka, nie dla ciebie do wydojenia, boś za młody i mmleko pod wąsem miałaś.

Toż córki, ach, siostrzyczki trzy w sam raz dla ciebie, zdrowe, jędrne, odchowane dzięki mmleku, rok w rok rodzone, więc każdej już zakwitło, co miało, u każdej różyczka płatki wypuściła i, psiakrew, żeby tylko siano trzeba było układać. Trzeba było prawie codziennie, jak to latem, więc pracowałaś jak wół, żeby sobie wymościć ring sienny, na którym toczyć ci przyszło nierówne, zwycięskie boje z siostrzyczkami trzema w sam raz. szamotaniny poddaszne, raz z tą, drugi z tamtą, z najstarszą na deser, a najsmaczniejsze w tych bojach były przygodne odsłonięcia, w ferworze walki zdarzało się przecież zadrzeć spódnicę, uda zobaczyć dziewczęce, rzeźbione aż po majtusie bielejące, a czasem, ja cię chromolę, czasem tych majtusi nie było, że niby tak po góralsku, a wtedy, lepiej nie mówić, wte-

dy, kurde, szłoby jak z dorosłą, normalnie ci stawał, co tu ukrywać, prostował się w portkach i nie bardzo było co z nim począć, no bo przecież odsłonięcie przygodne, bez premedytacji, dla zabawy tylko, więc jak tu tak po dorosłemu, chyba nie bardzo. I co z tego, że siano potem pod koszulą gryzło, że kurz w nosie i oczach, szczypawice we włosach, ale trzy dziewczyny miałeś i po wakacjach w kiblu chłopakom pokazywałeś trzy zdjęcia, wiecie, każda mi pokazała, każdej widziałem, a ta, o. to jest Jadźka, najstarsza, już się całuje, i mnie pocałowała, gdzie zechciałem, mówię wam, już na języczki, a za rok będzie o rok starsza i może więcej już z tego będzie, mówię wam.

Ale podziw z roku na rok malał, wiadomo, monotonia, chłopaki zaczęli się nudzić historią o góraleczkach, ciągle tych samych, chłopaki na własne nogi zaczęli się uganiać, na własne oczy widzieli, nawet na własne języczki, choć w miastach, w piwnicach, na podwórkach, nie na sianie, aż któregoś dnia Waław zapytał bezlitośnie: Tadzik, a dupczyłeś już którą? No i co miałeś powiedzieć, że widziałeś, że przygodne odsłonięcia, poza tym pocałunki w usta otwarte na oścież, Tadzik, ja ciebie pytam, czy już dupczyłeś, a ty, Waław, zaczekaj, jeszcze nie wszystko opowiedziałem, ale on wtedy, dość tego, chłopaki, idziemy, nie będziemy więcej gadać z tym prawdziwkiem. I poszli jak jeden mąż za Waławem, a ty, zaczekajcie, co ty gadasz, Wacek, jaki prawdziwek, a on, prawdziwek jesteś, boś nie dupczył, i poszli.

Trzeba było temu zaradzić, i to szybko, czekałeś na wakacje jak nigdy dotąd, myślałeś, tak nie może być, teraz pójdzie jak z dorosłą, rach-ciach i po wszystkim, jak nie z jedną, to z drugą albo trzecią, najstarszą, wszystko jedno, czas najwyższy, mamó, tato, może byśmy pojechali już w czerwcu, proszę, tak się stęskniłem za wujkiem i ciotką, jak to nie możecie, dlacze-

go. Zenon, on już nie jest niemowłębem, może przecież pojechać sam, wyślij list do Heli, żeby go odebrała na dworcu. Ha, heja, niech żyje życie, pociąg, pa, kocham was, szajbusku, nie wzięłaś biletu, och, dziękuję; a w Nowym Targu już czekała ciotka \ cmok, Tadziu, cmok, aleś wyrósł, cmok, cmok, zaraz przyjedzie autobus, w domu już wszyscy czekają, dziewczynki się cieszą, głuptasku, cmok, no, wreszcie się napijesz świeżutkiego mmleka. Przyjechałaś, są dwie w sam raz, ale jak to, jak to dwie, gdzie Jadźka, a ciotka mówi, Jadźka już pannica, nie poznasz jej, ho, ho, już się dopytują, oglądają za nią kawalerowie, już nie mieszka z siostrami, oddaliśmy jej pokój na górze, swój pokój teraz ma, a idźże do niej, przywitaj się, he, ale przyjdź zaraz do kuchni, razem przyjdźcie, bo mmleko. Tak, była na górze, siedziała przed lustrem, żeby się doczesać na twój przyjazd, i to lustro, ów znamienny atrybut, nadało jej takiej wyniosłości, takiej kobiecości, że ujrzałaś w pełni zmiany, jakich dokonał rok przestępny, bo oczy wyobraźni miałaś bystre, zrozumiałaś, że istotnie wstąpiła już w coś wykluczającego definitywnie siano, przepychanki, zdyszenia wzajemne, odsłonięcia przygodne, że już nie języczek, ale język, i zdaje się, że już szłoby, ach, z dorosłą, dorosłość w jej ciele i twarzy i spojrzeniu jakaś na-gła, szło by, Jadźka, powiedziałaś, wymówiłaś imię. choć i ono wydawało się nieaktualne, wymagało przeobrażenia w poważniejsze, ale przecież nie w Jadwigę, to załatywało jakąś średniowieczną świętością, no jak by to brzmiało, chłopaki, wydupczyłem Jadwigę, i zaniemówiłaś, i znieruchomiałaś, a ona wydawała się coraz starsza, coraz dojrzalsza, aż ujrzałaś w niej, kurde, prawdziwie kobietą kobietę, i to słowo uznałaś za najwłaściwsze, ale z ciebie kobieta, Jadźka, i to było to, sezam się otwarł, ożyła, przemówiła, i było gadanie, i spacer po krowy, i języki wieczorne nad potokiem, i wiedziałaś już pierwszej nocy w pokoju gościnnym, że dojdzie,

ach, dojdzie do tego, stanie się z kobiecą kobietą, hej. hej, wspaniałości, kochanie kochanie kochanko będzie, bo już idzie, hej, jak z dorosłą, chłopaki, to wam dopiero opowiem.

Nie od razu, miły, nie od razu, jak śpiewa nasz ulubieniec. Dzień po dniu wzbierało w tobie, pęczniało w was, ale jakoś odwagi, jakoś okazji, żeby powiedzieć, zagaić, nie było. I owszem, były

dotknięcia, wachania, całowania, wszystko, co dotychczas, ze zdwojoną energią, z potrójnym zdyszeniem, ale brakowało kropki, no kurde, nie szło się zdobyć, nie.

Ach, jesteś dziś jakiś taki jakiś, Tadziku, no wiesz, Jadźka, bo to tak jakoś, powiedz, Tadziku. co dla ciebie mogę zrobić, ach, Jadziu (dobrze wiesz, kurde), Jadziu, jak to powiedzieć. A ciotka pogłębiała twoją melancholię, bo nic, tylko co tak siedzisz, coś taki blady, może mmleka się napijesz, a tu przecież trzeba było rady dorosłej, męskiej, trzeba było impulsu, sposobu, bo czas uciekał, oj, uciekał, a zgryzota puchła, bo jakoś ci ta niewdzięczna propozycja stanęła w gardle, to niezgrabne zapytanie, no bo jakże tu do kobiecej kobiety się zwrócić, w jakim słowniku znaleźć tę niefortunność. I może nie pytać, może w milczeniu się takie doniosłości dziać powinny, chyba tak, inaczej można by spłoszyć, a tu trzeba zachęcić, ale cóż, wciąż odwlekałeś, zwlekałeś, aż tu.

Chodźmy o świcie na grzyby, powiedziała na zakończenie dnia skwarne-go, w którym gorąco wam dokuczało okropnie, i wyjątkowo się powiększało tam. to, w tym, kiedy ona tak przy tobie pachniała pod słońce, nad Białką, na otoczkach, ach, jak ci się podobała pod względem skórnym.

Na grzyby, zdziwiłeś się. bo wyrosła już, jak się wydawało, z biegania po leśnych chaszczach, z wypraw do doliny za ilomaś tam wierchami, do któ-

rej droga zawsze była za daleka, zawsze ring na runie jak na sianie, odsłonięcia, a zamiast szczypawic we włosach kąsanie mrówek i kolana odrapanie od gałęzi. Pomyślałeś, może to tylko kamuflaż, może w niej też już wezbrało nad miarę i użyła podstępu, szyfru, żeby dać do zrozumienia, żeby napomknąć mimochodem, więc podjąłeś grę, ach, oczywiście, z samego ranka, na grzyby, hejże ha.

No to przy mostku, o szóstej. Dlaczego przy mostku, możemy razem z domu wyjść, a ona, przy mostku, mówię, o szóstej, cześć, i pomknęła w górę. Kurde, ale cię to wierciło, co za niespodziewanka się szykuje, jakie okoliczności się kłębią wokół tej nieodwołalności, więc było wyobrażanie, myślenie, całą nieprzespaną, a jakże, noc.

Aż tu szósta prawie, więc zziąjany, razowa, zmięty i z piachem w oczach, i po co tak rano, myślący sobie, dziwactwo, ale cóż, tak chciała, rano czy wieczorem, i tak się stać musi. biegłeś na złamanie nad strumień, gdzie mostek.

Dobiegałeś, ale mgła i jeszcze słońce nie całkiem na nogach, więc mrużyłeś oczy, co nad tym mostkiem, kto, bo jakbyś widział, ale nie

Jadźkę, dobiegałeś, ależ tak, raz, dwa, trzy postaci, cóż, na Boga, Rysiek, Mietek, Stasiek Browce, tych trzech kretynów zza płotu, z którymi wojny i mor-dobicia co lipiec, ale przecież dawno skończone, bo miałeś przystąpić do stania się razem z kobiecą kobietą, a nie z durniami wsiokami się zadawać po chłopsku, dobiegałeś i widziałeś wyraźnie, to nie mgielna halucynacja, to nie majak zrodzony z podniecenia i niewyspania, oni to trzej, prawdziwi, a Jadźka gdzie.

He, he, Tadzik, ciulu jeden, he. Śmiali ci się. ażby w mordę od razu należało, ale przecież Jadźka zaraz, więc nie wolno się wdawać w szarpaninę, fason trzeba trzymać, dumnym być, bo oni jeszcze mmleko pod nosem, a

ty już za momencik, już za chwileczkę będziesz z taką kobiecą kobietą, że ha.

Co wy tu, zapytałeś, bo zbieg przypadków wymagał wyjaśnienia, a oni, na grzyby idziemy, tak jak ty, ciulu jeden, he. No jak to - a srakto. No ale - co ale. A Jadźki nie było może, przyjdzie przyjdzie, poczekaj, ciulu. he. No co wy. ona wam też kazała przyjść, po co. he, he. patrzcie go. myśli, że tylko jemu z nią wolno, ciul jeden ceperski, he. I już miałeś za krtań łapać kmiotów, już bronić honoru, kiedy nagle usłyszałeś zza pleców, Tadziku, zostaw ich, wszyscy musicie przejść próbę. Jadźka. to Jadźka, wyłoniła się z oparów jak nimfa, biała i zwiewna, że ślinka, czysta i świeża, że schrupać by, ale cóż za próba, jak to, czy to możliwe, żeby kobieca kobieta błazeństwa jakieś wymyślała, czy to ona we własnej osobie urządziła taką dziecinadę, miałbyś stawać w jakieś tajemne szranki z tą hołotą, walczyć o nią z nimi. przecież dla niej przyjechałeś, z nią spacer, języki, siano od lat, ona jedyna, najstarsza, dla ciebie w sam raz, tobie należna przecież. Czemu więc nie machnąłeś ręką. czemu nie zostawiłeś tych słomianych trojczków z nią, dla której już nic nie było warto, bo wielkie kłamstwo i podstęp i w ogóle, kurde, tylko splunąć, trzeba było powiedzieć, niech was szlag, i zawrócić w stronę domu. gdzie przecież jeszcze dwie siostrzyczki w sam raz, z którymi może szłoby, bo różyczki, płateczki i. psiakrew, siano by właśnie trzeba poskładać. Czemu więc pierwszy zapytałeś na głos. cóż za prośba, gotów choćby w ogień, choćby w ogniu kto dłużej, żeby ich spalone ścierwa Jadźki nie dostały, nie mogło być próby, z której wyszliby zwycięsko, choćbyś miał podusić każdego z osobna, a po zwycięstwie, kiedy już chciałyby z tobą stać się. odszedłbyś, o tak. jak na filmach, i poleciałyby napisy końcowe, a panie płakały w chusteczki panów. Nie gniewaj się, Tadzik. ale Browce tu ze mną przez cały rok. Rysiek gawrę poka-

zał zimą za Niskim. Mietek koniczyny czterolistne znajdował, Stasiak na motorynce przewiózł, nie mogłam ich tak. Tadzio, sprawiedliwie trzeba, zaczęła się tłumaczyć, jakby jej nagle całe to głupstwo się ujawniło, jakby pojęła, że to nie był dobry pomysł, że już nic z tego się nie da uzyskać, tylko stracić, ale za późno, za późno, bo Browce sapały z niecierpliwości, trzeba było wyznaczyć zadanie, bo gotowi byli samosądem sprawę załatwić, najpierw ciebie w trójkę zbuto-wać, a potem między sobą, kto silniejszy, po bratersku, psie nasienie.

Chodźcie, chodźcie za mną, powiedziała wreszcie, i poczłapaliście w las, w ślad za jej kierpcami niedzielnymi, ani razu się nie obejrzała i byłeś prawie pewien, że płacze, żałuje, bo tak naprawdę chciały z tobą tylko, a nad nimi ją zwykła litość wzięła, i szedłeś dziarsko, wierząc, że wymyśli coś takiego, żeby nie mieli szans, żeby mogła powiedzieć, widzicie, nie nadajecie się, ja z Tadzkiem, z nim teraz będę, z nim się stanę, a wy do domu. no już, won.

W końcu się zatrzymała przy młodniku, odchyliła gałęzie, wy, przepychając się, włożyliście łby między liście, kurde, co to ma być. Jak to co. grzyb, ciulu ty, he. Widzę, że grzyb, kmiecie, muchomor, wielki jak parasol, i co z tego, A Jadzka, to jest wasza próba, kto mnie naprawdę kocha, ten go zje.

He. He. he. Ty głupia, dyć to trujok. potruć nas chcesz, Mietek był już poza konkurencją, sama se zjedz, wariatko, Stasiak z bratem za pan brat, ale Rysiek był najstarszy, jemu nie uchodziło tak od razu rejterować, poza tym byłeś ty, wiedział, że jeśli się wycofa, wygrasz bez walki, czeka! więc, bał się, ale raczej nie dowierzał, Jadzka musiała udawać, przecież wiedziała, że to śmierć w grzybie, kto ugryzie, padnie trupem, ach. więc chodziło tylko o to. kto ostami zrezygnuje, kto najdłużej wytrzyma, cho-

dziło o to. by przeczekać, wyczekać rywala, ach, ale oni wszyscy wlepili w ciebie gały. kurde, na ciebie czekali, teraz twoja kolej, żeby powiedzieć, opowiedzieć się, nawet Jadźka, myślałeś, patrzy i prosi w duchu, Tadzik, zrób coś, już prawie po nich, tylko z Ryśkiem coś musisz, coś zrobić, a wtedy, ach, wtedy będę twoja, tylko twoja.

I czekaliście, zamarliście jak śpiący rycerze w tym wyczekiwaniu jeden na drugiego, a grzyb stał i coraz wyraźniej było widać plamy na czerwonym kapeluszu, bo świt już dojrzał, rosa i pierwsze dzwony na anioł, pojedynek trwał w ciszy i bezruchu, bo nic już nie można było powiedzieć, bo kto by się odezwał, przegrałby, to teraz już tylko o ciszę chodziło, o milczenie, kto kogo przemilczy, a potem z Jadźką, albo bez, jak w filmie. A potem stało się, Tadziku biedny, nie wiesz, z jakiej przyczyny, z jakiego jaja się to szaleństwo wykluło, który pierwszy nie wytrzymał i ruszył w stronę muchomora, bo już tylko tam można było uciec od tego czekania, i pierwszy ugryzł, ale zaraz potem ten drugi, ty i Rysiek, albo Rysiek i ty, łamaliście po kawałku, i połykaliście śmierć z grzyba, a Jadźka w ryk, dajcie spokój, żartowałam, no przestańcie, ale na nic jej krzyki, bo on jadł. więc i ty, przestać znaczyło przegrać, aż w żołądku zaczęło się zbierać, aż przełyk coraz trudniej było zmuszać do przyjmowania kleistej i piekącej papki, ale on jadł, więc i ty, choć was szarpali, drapali, przestać, dość tego, wypłuć to świństwo, Rrysieek. Ttadzik Jezu, Ttadziiiik, bo on jadł. bo on jadł, aż ciemność, najpierw karuzela, a potem ciemność, jak w filmie.

No i tak właśnie przez miesiąc słuchałeś w szpitalu opowieści, tytko słuchałeś, bo od czytania zaraz mdłości, i od wstawania, chodzenia, wszystko mdłości, kurde, jak mdliło, opowieści też mdlące, jaka to głupota szczeniacka, jak tu cudem od śmierci, syneczku, mogłeś skończyć jak ten Browiec, co mama mówi (mówienie też mdlące), czy on umarł, a coś ty my-

ślał, tyle trującego grzyba zjeść, ciebieśmy ledwo odratowali, jak to, czyli przegrałeś, musiałeś zjeść mniej, skoro żyjesz, ach, ileż mdłości od tego wszystkiego, wszystko pomieszane grzybjadźkastajniastianokibelchłopakirzyganie, i tak już na zawsze. Tadzik, do końca, miłość to mdłość, ból brzucha i wymioty, a więc z żadną, z żadną kobietą kobietą, dajcie spokój, żeby tylko nie mdliło, lepiej już trochę tego mmleka.

Winniczek

(apokryf)

I siedziała tak z nogą na nodze, obnażając przede mną kolana krągłe i gładkie, kiwając stopką obutą lekkim sandałem, a kiwając tak misternie, tak przemyślnie, jakby tym kiwaniem powiedzieć do mnie coś chciała, do mnie, bo do kogóż by, skoro sami w przedziale byliśmy już od Zawiercia, a pończoszka tak się delikatnie jej marszczyła przy tych kiwnięciach, cieniutka beżowa pończoszka, tak się delikatnie, że nie mogłem oderwać wzroku, przykuła przyszyła przy cero wała mnie do pończoszki, do zgięcia nóżki smukłej pod kolanem, gdzie łydka przechodzi niepostrzeżenie w udo uch udo mięciutkie aksamitne, a przygrywał jej w tym kiwaniu stukot, przygrywał rytmicznie, tadat tadat, tadat tadat, mieszcząc podwójne stuknięcie między pojedynczym kiwnięciem, i ja patrzyłem tak wpatrywałem się, ale niewiele widziałem, bo tylko zmarszczka na pończoszcze, bo tyj ko nóżka, i oczu nie śmiałem podnieść, no nie śmiałem, lak byłem przyszyty, a myślałem sobie, że ona musi myśleć o mnie takie rzeczy, takie na przykład okropne „o ty wstydlivy trzepikoniku, o moich nogach marzysz, oglądasz kolana, oglądaczu jeden wstrętny ohydny ty, chciałbyś może i głębiej gdzie zajrzeć, ale nie śmiesz, ty oklejaczu ścian w kiblu, ty wlaje-

rysto, jak mawia doktor Szpilka na zajęciach, jestem studentką piękną pachnącą, umiem takich jak ty klasyfikować, ty oskubany koguciku. nie dla ciebie kiełbaska, o nie", może i myślała tak, a może gorzej, bo ja już całkiem straciłem nadzieję, że wzrok mi się uda (uch uda) oderwać, że uciec z obozu pończoszowego, wyplątać z drutu kolczastego, i zeszywniałem już całkiem jak trup, i tylko oczy za jej kiwnięciami ruszały mi się płynnie faliście, w tę i w tę, aż nagie coś mi jakby zamajaczyło pod pończoszką na nieskazitelnej dotąd smukłości, tak jakby plamka, pieprzyk, ale taki czarny pieprzyk, pomyślałem, nie może być, żeby taki zgrzyt wdarł się zowądś. niemożliwe, żebym tak się wpatrując, dotąd nie zauważył tego intruza, tej fałszywki, i nagle cała smukłość. czystość i gładkość wydała mi się skazitelnością szorstkością niesmaczną, tak bardzo niesmaczną, że już byłem wolny, już odszyty, wykuty, już nie musiałem się wpatrywać, już z własnej, nieprzymuszonej woli studiowałem tę kaleką nieładna przykrą obrzydliwość, już chciałem parsknąć na glos „ha, pieprzyk", już miałem zamiar się wypowiedzieć „piękna pachnąca, a tu taki pieprzyk", kiedy przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie kiedyś, przedpołudniem zostawiony w domu, jednym z tych przepastnych rozciągniętych, grzebiąc w szafach szufladach, szukając dla szukania samego, bo co można było znaleźć tajemniczego, to dawno znalazłem innymi przedpołudniami, natknąłem się na gniazdo pieprzyków i wysypałem niechcący, pofrunęły rozfrunęły się, nie zdążyłem uciec i parę na mnie spadło, tak już zostały, ale większość się uwolniła na dobre i przez okno, wiut przez okno wyleciały ofiar szukać, i pomyślałem, że może to jeden z nich, po latach, może to jeden z wypuszczonych przeze mnie pieprzyków wygłodniały osiadł na stałe, może właśnie kiedy się wpatrywałem w skazitelność, i poczułem się winny, i cała ta kalekość i szorstkość wzbudziła we mnie żal i politowanie, i już

chciałem przygarnąć pocieszyć zaopiekować się tą chorą nóżką, ale tak się jeszcze uważnie przypatrzyłem, wydało mi się, że coś to jakby nie pieprzyk, że po prawdzie takiego pieprzyka jeszcze nie widziałem, więc pomyślałem, może to inny intruz przyczepił się i wysysa spod pończoszki całą mięskowatość nieskazitelną, i zobaczyłem nagle wyraźnie, że to kleszcz napity, olśnienie, kleszcz, nie pieprzyk. a więc gładkość jeszcze do odratowania, do odtworzenia, jeśli tylko intruza usunąć, i zaraz się we mnie sanitariusz objawił, zaraz podjąłem się ratować, ratować jak najszybciej, żeby nie uronić już ani kropli tego gładkiego piękna, więc jak najgrzeczniej, żeby nie przestraszyć, nie spłoszyć, zapytałem, zagadnąłem, powiedziałem - Przepraszam, czy mogłaby pani zbliżyć do mnie łydkę, bo coś przyuważyłem?

i wreszcie podniosłem wzrok, i zobaczyłem, zobaczyłem jej twarz calusieńką gołą, ale lepiej, bym nie zobaczył, bo spojrzała i ona na mnie, ale tak spojrzała, że lepiej, by nie spojrzała, tak jakoś o burz o no-zdziw i o no, tak jakoś jakby z jedną ręką na gazie łzawiącym, a drugą na hamulcu bezpieczeństwa, i ja wyczytałem z jej twarzy komunikat, wyczytałem, co ona o mnie myśli, tak myśli „ty smarku zasuszony, ty przygarbieńcu pokraczny, odważyłeś się do mnie odezwać, do mnie na głos, ty, chyba ci mlecz się do głowy wtrysnął z braku ujścia, nie myślisz chyba, że na tę wariackość nienormalność paskudną w ogóle odpowiem, że zauważę propozycję analizy, kto wie, może i taktylnej, jak mawia doktor Szpilka na zajęciach, mojej własnej osobistej nogi, przeznaczonej dla absolwentów marketingu, a w najgorszym wypadku dla aplikantów umięśnionych, tacy mogą dotykać, badać, zapoznawać, nie ty, zboczeńcze ty", tak ona, oburzono-zdziwiono na mnie patrząc, milczała, a do pomarszczeń jeszcze do-

łączyła brew zmarszczoną gniewnie, no to ja w te pędy, żeby swoją misję wytłumaczyć, żeby ujawnić rolę swoją zbawczą, mówię

- Myślę, że grozi pani niebezpieczeństwo, a przynajmniej drobna przykrość

ale ona wtedy się na mnie wybałuszyła już nie tyle gniewnie, a bardziej z lękiem, ale na chwilę, bo zaraz jej wróciła ta mina, ta brew, to oburzenie-zdziwienie i odezwała się z ostrożna

- O co panu chodzi, jeśli można?

no to ja nie wytrzymałem, bo intruz wykorzystywał każdą chwilę zwłoki, a moja bezbronna, o niczym nie wiedząc, opóźniała interwencję, złapałem ją za tę łydkę, podnoszę, pokazuję

-A to co?

pytam, j pokazuję na kleszcza, ale ona nawet nie zerka, tylko oburzenie głupia ogłasza i pyta

- A cóż to?

że niby jej moje maniery nie odpowiadają, więc ja raz jeszcze wskazuję palcem i mówię

- Kleszcz!!

dopiero ona wtedy zauważyła ssacza i wydaje takie bezradno-obrzydzone jęknięcie i osuwa się omdlała, najnormalniej mdleje mi na siedzeniu, cała jej pachnącość-srudenckość mdleje przede mną, całe jej oburzenie-zdziwienie traci się rozplywa wiotczeje, myślę więc, to ci dopiero, kleszcz mi otwarł drogę do głębin, kleszcz się okazał wytrychem do pończoszek, łydek, kolan, a może nawet do ho ho, może i nawet ho ho ho, i aż mi się ręce same zacierają rękawy zakasują, no i zabrałem się do roboty, a dokładnie i solidnie, bo się poczułem odpowiedzialny, tak, osobiście odpowiedzialny za tę omdlałą mi, dla mnie, wobec mnie i kleszcza omdlałą, jałem się za-

bierać do intruza, to znaczy zabrałem się do zabierania, bo najpierw wiadomo, trzeba było pończoszkę, na miły Bóg, własnoręcznie pończoszkę trzeba było ściągnąć zsunąć powolutku, a żeby ściągnąć pończoszkę, najpierw podwiązkę, tak tak, prawdziwą podwiązkę odpiąć, tam wysoko wysoko, na udzie (uch udzie) mięciutkim, a jak już zacząłem odpinać, to znaczy powziąłem zamiar odpięcia, a jak już moje własne ręce wysoko wysoko poczuły ciepło, to coś mnie tknęło, żeby tknąć, żeby tknąć i sprawdzić tak dla samego sprawdzenia, tam gdzie hohoho, gdzie najcieplejsze ciepło się znajdowało, wydobywające się przez majteczki z majteczek i w majteczkach, tknąłem więc, tknąłem osobiście, bezlitośnie naruszyłem nietykalność, a gdzie tam kleszcz, gdzie tam kleszcz był, ssał dalej niezagrożony, a ja, nowy intruz, tak, sam stałem się intruzem, z ratownika się stałem gwałcicielem, i poczułem się winny, poczułem, że już za późno, za późno już na przebaczenie rozgrzeszenie, dokonał się grzech ciężki niezmywalny, potępienie się zapisało i czeka, teraz już zawsze będzie czekać, to właśnie zrozumiałem, ale ona dalej była omdlała. Piotrków już mineliśmy, nikt nie wsiadał, a ona dalej taka osunięta nieocknięta, więc pomyślałem, że przecież jeden intruz może przeciw drugiemu, może powierzyć winę drugiemu, a więc to wszystko przez kleszcza, bo on pierwszy się wessał wgryzł i teraz już co bądź, to przez niego, więc odsłoniłem najcieplejsze ciepło, majteczki, na miły Bóg, białe majteczki zsunąłem ostrożnie, i wessałem się wgryzłem na drugiego, tak, na drugiego się załapałem, po kleszczu, skoro on mógł, to i ja mogłem, to i każdy by mógł, i moje zatopienie wessanie wlizanie było czyste, tak pomyślałem, było czyste, bo przecież jad kleszcza wpuszczany w łydkę rozprzestrzeniał się rozlewał po całym ciele, więc i po całym cieple, więc i po najcieplejszym, a ja ten jad wysysałem, na siebie brałem, truciznę usuwałem wysysałem wylizywałem za-

pamiętała, a więc na powrót stałem się ratownikiem, a więc nastąpiła odwracalność, moja rola zmieniała się raz jeszcze, i rzeczywiście, moje ssanie przyniosło efekt, bo pachnącość-studenckość obudziła się, ożyła, a ja tym przebudzeniem strapiony myślałem, że może już dość tego ssania, że teraz, kiedy jad usunięty, trzeba wyrwać pierwszego intruza, przaprzyczynę jadowitości zdeptać i rozgnieść, i już się odrywam, kiedy ona mi głowę przytrzymuje, czuję, że nie dość jej tego ssania, że już nie oburzono-zdziwiono, tylko zadowolono-przyjemnie, że w takie przymrużenie-rozchylenie wpadła i nie zamierza wypaść, więc trwało to ssanie podwójne, moje i kleszcza, jednocześnie trójcę ustanawiając, bo żadne z nas się wyrwać nie mogło, ja i intruz ze ssania, ona z bycia ssaną, i wszyscy wpadliśmy w obóz, w zniewolenie przyszyście przycerowanie wzajemne, i żadnej już nie widziałem nadziei, bo trwało to trwało, sunęło w stukot i zmierzch i Tomaszów, i sam już nie wiem, kto winien, z czyjej to wszystko przyczyny, z mojej, kleszcza czy dziewczyny.

Trzydzieści trzy pytania

1

- Nie wiesz, gdzie moja biała kamizelka jest?- pyta And. Odczekuje chwilę, zamyka drzwi, idzie do kuchni, dopija kompot, wraca do przedpokoju, wkłada buty, wychodzi na korytarz i dalej, na dół, po schodach, do piwnicy albo ogrodu, to przestaje być istotne, nie widać go już, nie słyhać.

Ma Ig. obgryza ołówek.

-Jak się nazywa inaczej borsuk?- pyta, nie odrywając wzroku od krzyżówki- Jak się nazywa borsuk inaczej? - ponawia pytanie nieco głośniejsze, a kie-

dy me otrzymuje odpowiedzi, odwraca głowę i widzi, że Tad. śpi na kanapie.

„Ach, śpij, synku”, myśli. Wraca do borsuka. Impuls w końcu przychodzi; wpisuje „Jaźwiec” szesnastie poziomo, odkłada gotową krzyżówkę, przeciąga się, patrzy na zegar, „Boże, mój serial”, myśli, rzuca się do telewizora, strąca szklanekę ze stolika. Hałas budzi Tad., który siada na kanapie, przeciera oczy, pyta:

- Która godzina?

Małg. nie reaguje, siedzi już w fotelu wpatrzona w ekran, Tad, sam spogląda na zegar. „Po piątej”, myśli. „Spałem”, myśli. Idzie do łazienki, obmywa twarz zimną wodą, płucze usta, wydłubuje z zębów resztki, idzie do przedpokoju, do kuchni, „Ktoś wypił mój kompot”, myśli, dokłada pustą szklanekę do sterty naczyń w zlewie, słyszy głos z pokoju, wchodzi.

- Mówiłaś coś? - pyta, ale to tylko telewizor, więc wraca do przedpokoju, wkłada espadryle, wychodzi na korytarz i dalej, na dół, po schodach, do pracowni. Wchodzi, otwiera okno, wygląda. W ogrodzie And. grzebie przy samochodzie, zauważa Tad., woła:

- No co tam?

Telefon, Tad. zamyka okno, odczekuje do czwartego dzwonka, podnosi słuchawkę. Nikt się nie odzywa, Tad. chce odłożyć, słyszy chichot, pyta:

- Kryst., to ty? Halo, Kryst., czy to ty? - ale dalej nikt nie odpowiada, więc rezygnuje, siada przy biurku, „Ktoś się wydurnia”, myśli. Bębni palcami w blat, wyciąga papierosa z paczki, szuka zapalek, nie znajduje, podchodzi do okna, otwiera, woła do And.:

- Masz zapalki?

And. przerywa grzebanie w aucie, zaczyna grzebać w fartuchu, wyciąga pudełko, staje pod domem. - Złapiesz? - pyta.

Tad. czeka w oknie, łapie zapalniczkę, zamyka, zapala papierosa, wraca do biurka, bębni. „A jeśli Kryst.?", myśli, podchodzi do telefonu, wykręca numer. Nikt nie odbiera, „Mówiła, że wyjeżdża, zapomniałem", myśli.

Film się kończy, Małg. idzie do kuchni, zabiera się do naczyń. „Garkotłuk jestem", myśli. „Zrobili ze mnie garkotłuka", myśli.

„To już koniec. Złom", myśli And. i wyciera ręce w szmatę, „Trzeba było sprzedać, kiedy jeszcze jeździł", myśli i zamyka kłapę. „Teraz go za darmo nie wezmą", myśli i zabiera narzędzia,

Tad, przegląda szkice, zatrzymuje się przy ostatnim akcie Just., patrzy dokładnie, „Kryst, nie może się dowiedzieć", myśli, zwija rysunek w rulon i rozgląda się po pracowni. „Trzeba gdzieś schować", myśli. „Nie ma gdzie", myśli i uderza rulonem w dłoń, wreszcie rozwija szkic na powrót i wsuwa pod starą wykładzinę, staje na niej, rozgląda się jeszcze, „Może nie znajdzie", myśli, „Dobrze, że wyjechała", myśli.

Małg. męczy się, przerywa zmywanie, siada na krześle, sapie. „Kiedyś umrę w tej kuchni", myśli. Włącza radio, znajduje muzykę, wraca do naczyń.

And. zamyka garaż, idzie przez ogród, zatrzymuje się przy czereśni, sięga do najniższej gałęzi, bierze do ręki owoce, próbuje, „Za tydzień dojrzeją", myśli. Zauważa Zen., podchodzi do płotu.

- Co słyszeć, sąsiedzie? - pyta. Zen. przerywa na chwilę plewienie, prostuje się, przeciera czoło, spogląda na And.

-Lepiej powiedzcie, co u was, sąsiad, no? - rzuca w jego stronę.

And- macha ręką, „Lepiej nie mówić”, myśli, odchodzi. Zen. patrzy jeszcze, aż And. zniknie w domu, „Dzisiaj przychodzi Małg.”, myśli, „Ale on musi przedtem wyjechać”, myśli, pochyla się nad chwastami,

Tad. słyszy kroki na schodach, „And.”, myśli, „Nie naprawił auta, pojedzie pociągiem”, myśli. Słyszy pukanie, „Przecież nigdy nie puka”, myśli, otwiera.

- Kryst., jak to, nie wyjechałaś?

Kryst. pokazuje palcem, żeby milczał, wchodzi do pracowni, wciąga go, zamyka drzwi na klucz, zaczyna się rozbierać.

Małg. upuszcza szklanekę na podłogę, zamiera na moment, „Co się ze mną dzieje”, myśli, zbiera szkło, wrzuca do kubła. Ociera pot, siada, „Wszystko przez Zen.”, myśli, poprawia spódnicę między udami.

And. kończy pastować mokasyny, wkłada, wchodzi do kuchni,

- Dasz mi drobne na pociąg? - pyta. Małg. otwiera szufladę, wyjmuje portfel.

- Ile? - pyta.

And, wzrusza ramionami, uśmiecha się, „Może da więcej” myśli. Małg. rzuca na stół banknot.

- Auta nie mogłeś naprawić? - pyta, ale And. już nie słyszy, zbiega po schodach, śmieje się, „Za dużo dała”, myśli, „Wystarczy na piwo”, myśli.

Małg. przelicza pieniądze, „Za dużo mu dałam”, myśli, „Nie wróci wcześniej”, myśli, „To dobrze”, myśli.

-Już? - pyta Kryst. Przywiera mocniej, całuje Tad. w usta, chce się jeszcze kochać, porusza nim w sobie, Tad. oddycha ciężko, „To tak, jakbym umierał”, myśli, „Za każdym razem”, myśli,

-Kochasz mnie?

-A ty?

Zen. zacina się, klnie, widzi krew na lustrze. Wyciera twarz, otwiera apteczkę, szuka, „Nie ma plastra”, myśli. Odrywa kawałek papieru toaletowego, przykłada do rany, czeka, patrzy sobie w oczy.

„Stary jestem”, myśli.

Małg, wychodzi z wanny, bierze ręcznik, staje przed lustrem, widzi, „Boże, jaka jestem stara”, myśli.

Kryst, podkłada pod siebie papier, czeka, aż wypłynie z niej sperma, wyciera się, ubiera, siada w fotelu.

- Zrobisz mi kawę?- pyta,

Tad- dopala papierosa, wychodzi. Kryst. wstaje, zauważa szkice, ogląda, „Tak mnie rysuje, jakby nie kochał”, myśli, „Może inne też rysuje?”, myśli. Rozgląda się, „Gdzie mógłby schować?”, myśli, zabiera się do szukania, ale Tad. już wraca z kawą, więc go pyta:

- Powiedz, kto ci jeszcze pozuje? Tad. przełyka ślinę,

- Co? - pyta.

- No, czy poza mną któraś jeszcze, goła?

Tad. oddycha głębiej.

-Skąd ci to przyszło do głowy? - pyta i podaje jej filiżankę.

Zen. poprawia kołnierz, wacha się pod pachą, podchodzi do kanapy, wygładza narzutę, patrzy na zegar, podchodzi do okna, spogląda zza fi rany, spostrzega Małg. „Idzie”, myśli, „Już idzie”, myśli, podchodzi do drzwi, czeka na dzwonek.

Małg. stuka obcasami o asfalt, „Ale głośno stukam”, myśli. „Na całej ulicy słyszać”, myśli, wchodzi na piętro, staje pod drzwiami, dzwoni.

And. patrzy przez szybę na mijające jezioro, zagajnik, pole. zagajnik, pole. pole, w szybę, na siebie, na twarz śpiącej sąsiadki, „Taka młoda jak Graż.”, myśli, „Nawet całkiem podobna”, myśli, podaje bilet do sprawdzenia.

- Kiedy dojedziemy do X? - pyta.

Tad. siedzi, oddycha, patrzy na Kryst., która siedzi, oddycha, pije kawę.

- Czy nie przesadzasz z tą zazdrością? - Tad pyta.

- Tak uważasz? - Kryst- mówi i pije.

- Myślisz, że mógłbym cię zdradzić? - Tad.

pyta.

- A nie mógłbyś? - Kryst. mówi i pije.

- Ale po co miałbym cię zdradzać? - Tad.

pyta.

- A po co w ogóle się zdradza? - mówi Kryst. i dopija.

Małg. składa ubranie w kostkę, kładzie je na krześle, zostaje w samych majtkach, z trudem zasłania piersi, odwraca się do Zen.

- Bardzo jestem stara? - pyta.

Zen. podchodzi, obejmuje ją. całuje w czoło.

And. odstawia pusty kufel, wychodzi z knajpy, przechodzi ulicą, wchodzi do bloku, do windy, wjeżdża na górę, staje pod drzwiami, dzwoni, wchodzi, całuje Graż. w usta, zaczyna ją rozbierać, przenosi na łóżko,

„Pil”, myśli Graż.. pozwalając zdzierać z siebie bieliznę.

„Ale jemu wolno”, myśli, obejmując go nogami.

„Boże”, myśli, czując go w sobie po raz pierwszy.

-Po co? - pyta Kryst.

„Po co?”, myśli Tad.

- Gdzie są moje klapki, te czarne? – pyta And.

Małg. obgryza ołówkę.

Zianie

- Mm, jak pani dzisiaj ślicznie pachnie -mówi Basieńka do K. Nędzy, kobiety znającej wyrok dożywocia panińskiego i pogodzonej z nim pokornie. Nędza zżyma się na każdy komplement, o ile nie prawią go męskie usta (męskie usta, och, męski, estetycznie przycięty zarost, męski pot, głos, och), ale tylko rymy, rymy męskie są jej dostępne (także żeńskie, takie nijakie), które omawiać, przerabiać (w aniołów) jej przychodzi w zastępstwie tej schorowanej zdziwy Niny. Do tego cała dzieciarnia tak drażni, ta hałaśliwa zgraja, której nie można ujarzmić w żaden sposób, te małoletnie idiotki skarżące, donoszące i podlizujące się na nieograniczoną ilość metod oślizgłych, Chryste, czego ta chuda gówniara chce, „jak pani dzisiaj ślicznie pachnie”, poczekaj, kaktus mi wyrośnie, jak dostaniesz wzorowe zachowanie.

- Jeśli będziecie cicho, to nie zrobię lekcji. Zajmijcie się pracami domowymi. Ale uwaga: zaczną się szmei, to robię dyktando !

Nędza wyjmuje nowy kwartalnik z artykułem Janusza. Odnajduje i zaczyna czytać (Janusz napisał) o weryfikacji (palcami) systemów moralnych (dotykając) w obliczu teorii Darwina (klawiatury), odpina guzik i masuje sobie obojczyk (tymi samymi palcami, które służą do pieszczot), zsuwa pantofle i pociera o siebie bosc stopy (a palce wyrastają z rąk silnych, mięsistych), och, cały Janusz, taki akademicki, taki przejęty publikacją w poważnym piśmie (a ręce męskie służą do obezwładnień, palce są chwytne, a ręce mocne, łapiące, trzymające w uścisku), Janusz, który teraz pewnie pilnuje ósmej b na sprawdzianie z drugiej wojny (ręce do bólu zaciskające się, zostawiające sine ślady, przyduszające, szarpiące za włosy).

-Proszę pani, a chłopcy robili zawody w ubikacji, k:o wyżej nasika na ścianę, sama w i działam. - Basieńka szepcząc do ucha, Basieńka obmierzła tak, że aż chciałoby się ją za kudły wytarmosić. Nędza odsyia Basieńkę do iawki.

- Ty mała świntucho, na godzinie wychowawczej wytłumaczysz klasie, co robiłaś w ubikacji chłopców.

Wraca do Janusza, pociera, masuje i czyta.

- Oni to robili w damskiej ubikacji...

Basieńka płacze, potem wyciera nos i rysuje w zeszycie szubienicę dla Nędzy.

Są jeszcze chłopcy, natłok chłopców pozostających w permanentnym stanie gotowości do wszczęcia buntu, zwłaszcza że ta K. Nędza z nimi ma tylko zastępstwo, więc może im skoczyć, nawet jak napiszą róda dópa na sprawdzianie, takie dwóje się nie liczą. Bomba w końcu wybucha w ostatniej ławce, gdzie Rosiek Przemykoń prosi Radka o pokazanie zeszytu z

autografami w celach porównawczych, po czym spluwa specjalnie spreparowanym gilem wprost na podpis trenera reprezentacji. Słysząc „Ryj ci skuję. gnoju jeden” czy coś w tym rodzaju, w każdym razie na tyle głośno, że Nędza podnosi głowę i staje się świadkiem bezpośrednim zwarenia, krzyczy "Dość tego!" i zaczyna represje. Linijka twarda, niech poczują główniarze, niech popamiętają, ich dzieci będą już pewnie miały osobny kodeks na nietykalność, ale na razie jeszcze można jednemu z drugim wybić bambusem chamstwo,

I tak dalej, do dzwonka - potem jeszcze siódma klasa, dwie lekcje jedna zaległa z zeszłego tygodnia (nie puszczę ich ani minuty wcześniej), polem fakultet. Nędza pilnie zawód wykonuje. Nędza wychodzi ze szkoły ostatnia, Nędza wykorzystuje każdy pretekst, by wziąć nadgodziny, bo w gnieździe Nędzy pojedynczym, nienaturalnym, przepastnym zieją przedmioty w ladzie dokładnie przewidzianym, znanym, ziej ich układ nienaruszony przez żadnego gościa {męskiego), przez żadnego intruza, układ, który może sobie dowolnie zmieniać, dla siebie, tylko dla siebie, jak wszystko. Więc idzie i mija te naturalne, parzyste, kochane, szczęśliwe, konsumowane, wózkowe, zakupowe, juczne, bite, umęczone, ale należące do mężczyzn (ach), raczej wypełnione niż spełnione, a jakże, regularnie, po brzegi wypełniane męskością (och), wyrzygujące pokątnie tę męskość, piorące ją w rękach, spryskujące mieszkanie aerozolem, żeby się jej nadmiar nie dał gościom we znaki. Nędza jest głodna. Głód jest najlepszym kucharzem. Odwiecznie nieugaszony głód czyni wszystko że mym. Nędza mogłaby robić za pralkę i suszarkę jednocześnie, mogłaby w zlewie odbrać zawać cuchnące majty, a potem obwieszona nimi stać na strychu, póki nie wyschną. Byleby kochał. Szorstko, prostacko, pokraccie, ale kochać by musiał. Bo Nędza słucha piosenek o miłości. Ogląda filmy o miłości. Czy-

ta książki o miłości- Pisz wiersze o miłości. Wiernie czeka na miłość. Miłość nadaje życiu sens. Brak miłości odbiera sens tosterowi, zmywarce, pralce, odświeżaczowi powietrza, kosmetykom, butelkom czerwonego wina w barku, ciepłym wieczorom na balkonie, szafce na buty, szafie na ubrania, fotelowi (temu drugiemu, zawsze pustemu), łóżku (łóżko, słowo łóżko kojarzące się, uwierające). Nędza nie chodzi do łóżka (bo z kim?), lecz na tapczan, nie sypia (bo z kim?) w łóżku, lecz na tapczanie (słowo tapczan nie kojarzy się, nie uwiera, jest miękkie, nie przyprawia o bezsenność). Nędza odwleka szczęk klucza znajomy w zamku znajomym, ławkę znajduje, siada i życie ogląda. Życie miłosne, we wszystkim, we wszystkich, w każdym stworzeniu oddychającym, które przecież kiedyś było spermą w pochwie (och), niczym więcej; w każdym bucie, ławce, huśtawce, smyczy, które to artefakty stworzyły ręce czegoś, co kiedyś było spermą w pochwie (och); i nie ma dokąd uciec; i nie ma, bo Bóg też jest męskimęskimęski (oooch)

- K. Nędza? Aleś mnie nabrała, he. W tym bereciku, płaszczku, na ławeczce, ty wiesz, nawet pomyślałem, że któraś uczennica przed randką siedzi...

Janusz. Jezus, (och) Janusz, o Jezus, wyszedł na spacer z psem. dumają, pewnie pomyśli, że specjalnie siedzę, durna, że wysiaduję i czekam, że dla niego tu usiadłam (czyż nie?), co teraz będzie (oooooooooooooooooch).

- No i co tam? Na wycieczkę jedziesz z tymi swoimi bachorami?

- Ko tak (och, mówię na jawie do Janusza). Właśnie (który jawnie patrzy na mnie) miałam cię zapytać (jestem więc przedmiotem), czy byś się z nami nie wybrał (jego)jako opiekun (chwilowego zainteresowania). W sobotę wyjeżdżamy {och, zgódź się. proszę, zgódź, pojedź, wyjedź z nami),

tylko na trzy dni (i trzy noce, och. noce), to może byś chciał też? (Januszkę, który rozmawiasz ze mną na jawie.)

-Niestety, droga koleżanko, w przyszłą sobotę odwożę małżonkę na urlop. Zmykam, proszę ja ciebie, nad morze.

Ach tak. ach tak. Pewnie jestem znowu cała czerwona- Zaraz mi powie, że się rumienię. Ach tak, ach tak. Nad morze. Słabo. Z małżonką. Słabo mi. Nie zemdleć przy Januszu.

53

- Cóż. szkoda. Wiesz, przypomniałam sobie, że ktoś do mnie przychodzi (och, pomysł, Januszkę, że to mężczyzna, że mężczyzna przychodzi do mnie w męskich zamiarach, och), a mam nieposprzątane mieszkanie,...

Biegiem, biegiem, uciec, zdjąć z siebie Janusza, zderzyć z siebie Janusza, zmyć z siebie Janusza brak i głód i nieobecność, palem wirować sprzątać jeść czytać poprawiać klasówki nakarmić papugi naostrzyć nóż (ostrożnie, nóż), nie czuć tej pustki, wewnątrz, pod skórą, pod kośćmi Janusz też ma kości i skórę i wnętrze), och. uspokoić się, dlaczego się trzęsę, mamuniu, ty byś mi powiedziała, gdybyś żyła.

Basieńka widzi stopy K. Nędzy, stopy w beżowych rajstopach, o siebie się ocierające, coraz wyraźniej, stopy rozebrane z czółenek na niskim obcasie. Nędza sama się ociera o siebie, przewlekła potrzeba nauczyła ją metody cudownych rozdwojeń, lewa stopa jest jej stopą, podczas gdy stopa pocierająca staje się narzędziem bezosobowym, do Nędzy zawsze należy ta część ciała, której się sprawia przyjemność, a tę, która odpowiada za sprawianie przyjemności, należy tymczasowo wydziedziczyć (wskutek zatraty tożsamości najczęściej wydziedziczanej części ciała Nędza ma nieczytelny i nerwowy charakter pisma); Nędza płaci bardzo wysokie rachunki za wodę, pod prysznicem nie trzeba wydziedziczać dłoni, za przyjemność od-

powiada strumień rodzaju męskiego, silny i skuteczny, w przeciwieństwie do słabowitej strugi, żeńskiej i w niczym niepomocnej (choć strumień umie wywołać strugę. Nędza lubi sikać pod prysznicem). Nędza lubi długą i gorącą kąpiel, bo wtedy cała łazienka zaparowuje. para na powierzchni lustra zasiana odbicie, którego nie chce się oglądać. Nędza przeciera lustro tam. gdzie nie odbija ono postępów starości przedwczesnej, gdzie nie widać symptomów przeobrażenia, coraz większej liczby ciemnych włosów wokół sutków, nad wargami (męskich włosów, męski Bóg chce jej płeć odebrać); mężczyzna lęgnie się w niej. zamiast przyjść z zewnątrz. zapowiedziany telefonicznie, zamiast zadzwonić do drzwi, jednym tylko dzyń. oj przecież otwarłaby drzwi, przywitałaby, zaprosiłaby, wpuściłaby (głęboko, jak najgłębiej), czemu więc mężczyzna z niej się wydobywa, skoro nie miała okazji go przyjąć, czyżby od nadmiernych wydziedziczeń, rozdwojeń, czyżby (męski) Bóg chciał ją pokarać za to, że w przewlekłej potrzebie jej ciało stawało się jednocześnie sceną i dwojgiem aktorów? Czemu musi z siebie wycinać wyskubywać wyrywać męczyznę (spisek rodzaju męskiego, mężczyźni wymyślili męskiego Boga, jak to dobrze, że chociaż śmierć w tym języku jest po mojej stronie).

Pociera coraz intensywniej, a Basieńka widzi, że coś w tym musi być, skoro pani tak ładnie pachnie, to musi wiedzieć, co robi. warto by też spróbować potrzeć, i Basieńka też zdejmuje pantofelki i bawi się stopami, palcami jednej smaga podbicie drugiej, delikatnie, ach, to wcale nie fas-kocze, to coś więcej niż tulenie się do poduszki, to prawie tak dużo jak zabawa pod prysznicem albo jazda na karuzeli, kiedy tak szczypie w dołku; i obie już pocierają, ścięgną Achillesa palcami obejmują, obie pieszczą się, stopy palcami obmacują, głaskają, międlą, Basieńka jak pani. pani jak zwykle,

dopiero dzwonek wyrywa je z korzeniami i uniemożliwia konkurs na imitację świętej Teresy Berniniego.

Aha, znów koniec, schodami w dół, do wyjścia i dalej do domu, przez park czy obok parku, wszystko jedno, dwa dni z rzędu się Janusza przypadkowo nie spotyka, lepiej spotykać nieprzypadkowo, lepiej przypadek za inscenizować, przygotować się uprzednio. Nowe buty kupiła, z podkutymi podeszwami, chyba ekstrawaganckie trochę (tak mógłby powiedzieć Janusz, tak powie Janusz, jeśli inscenizacja przypadku przebiegnie pomyślnie}, włoży je dzisiaj i wyjdzie, wieczorem, sama, gdzie bądź, wyjdzie z domu i będzie chodzić, stukać głośno, żeby wszyscy słyszeli, ach. będzie chodzić, stukać, wymaluje się i włoży czerwoną suknię, tę z dekoltem, do której kupienia podchodziła przynajmniej dwadzieścia razy, wyczekując, kiedy akurat w sklepie nie będzie nikogo poza nią, kiedy w pobliżu będzie najstarsza i najmniej zmanierowana z ekspedientek, a i to wszystko należało poprzedzić podwójną lampką wina, żeby mieć śmiałość, żeby wejść i bez przymierzania wybrzydzenia poprosić o tę. tę właśnie, czerwoną, wcześniej wystarczająco długo taksowaną i szacowaną wzrokiem, tę z wystawy, szybko szybko, reszty nie trzeba; poprosić pokornie i z podkulonym ogonem, jakby nie o zakup chodziło, ale o rozgrzeszenie, poprosić i obiecać sobie, że następnym razem już na pewno wejdzie i obcesowo, i odpowiadając ze zwielokrotnioną pogardą na spojrzenie tej młodej, leniwie przeżuwającej gumę. zażąda tego, co się jej należy. (Pójdzie gdzie bądź, na przykład pod dom Niny. gdziekolwiek, tak po prostu, żeby się poprzehadzać i trafić pod dom Niny, a potem przystanąć tam, gdzie już tyle razy stała i patrzyła w okno na siódmym, gdzie oglądała teatr cieni na zasłonach, a kiedy światło gasło, domyślała sobie spektakl do końca, spektakl zawsze dokładnie wyliczony w czasie, domyślała go sobie, czeka-

jąc, aż Janusz wyjdzie, jej cudowny Janusz, który przecież małżonkę, proszę ja ciebie, odwozi nad morze, a tu od roku prawie co wieczór miał kółko historyczne na materacu tej zdziry i nikt się nie domyślił, ale K. Nędza wie, tylko dla siebie, nie musi się dzielić tą wiedzą, choć przecież kiedyś dojrzeje do tego. by mu powiedzieć i zażądać.) Nie, nigdy nie zażąda.

Oto biegnie. Nocą, bocznymi ulicami, a iskry złote strzelają jej spod butów, taki świetlisty szlak, biegnie, żeby w porę się znaleźć na stanowisku, wypatrywać, oglądać, między topolami się ustawić i patrzeć, wyczekiwać. Oto stoi.

K, Nędza stoi powszednio, choć odświętnie ubrana, celebrując dziesięciolecie obrony dyplomu. a raczej imprezy na wyjście z uniwersytetu, w której brał przecież udział, w której (ach, czy to się działo naprawdę) i on brał udział, tak pijanie, tak całonocnie, tak tanecznie, a potem (ach, tak dawno, że się zaciera, że nie wiadomo, czy naprawdę) w pokoju pełnym zmorzonych snem pijackim, na cudzym łóżku, między końcem upojenia a początkiem głątwy. z nim, w niej, och, Januszk, Januszk, niedoczekanie moje. Już niedługo, niedługo powinien wyjść, nie może przecież zostać na noc, dba o swoje stadło, dba o wiarygodność swoich poglądów, historyk musi mieć jasne i zdecydowane poglądy, musi się opowiadać, lak przecież powtarza, praktykuje, nawołuje, wierzy, bo jeśli się wartości nie wyznaje, wtedy nawet prawe życie nie ma pieczęci Pańskiej i na nic ono, na nic się nie przyda, tak jak dzieciom zmarłym przed chrztem, jak poganom, ot co.

K, Nędza w sukni czerwonej, oko przyciągającej ciemne i piekielne, nie spodziewa się, że podgląda, sama będąc podgladaną. Nie słyszy szelestów, chrzęstów wokół siebie, nie odróżnia mechanicznych dźwięków od natu-

ralnych, nie zwraca uwagi, bo sama wypatruje, bo cała jest wzrokiem wlepionym w sąsiedni budynek, w okno na siódmym i drzwi wyjściowe, bo nie może przeoczyć odejścia Janusza, bo musi potem iść za nim. patrzeć, jak poprawia kołnierz, wyjmuje papierosy, zapala, przyspiesza kroku, czasem nerwowo zerka po bokach, jakby go jeszcze jakieś wyrzuty drapały po plecach; nie słyszy więc Nęcza kroków za sobą na tyle wcześnie, by zdążyć się obrócić i krzyknąć, albo po prostu uciekać- Nie broni się, nie szarpie, zbyt jest zdezorientowana, kiedy czuje na ustach dłoń dużą i lepka, kiedy słyszy w uchu mokrym od śliny szept:

-Jedno piśnięcie i uduszę, oprzyj się, kurwo, o drzewo i nie odwracaj.

I czuje na szyi gorący język, a dłoń duża i lepka wyłuskuje jej pierś, łapie mocno, trochę za mocno, ale nie wolno krzyczeć, duża, lepka i łapczywa dłoń. która mniej głodna mogłaby pieścić, i przewiduje każdy następny ruch drugiej dłoni, która nie oszczędza rajstop, ściąga jej majtki poniżej kolan, tylko tyle, by wystarczyło do wtargnięcia. Nęcza ostatnie chwile przed nieuniknionym przyjęciem (za głęboko, stanowczo za głęboko) anonimowego (jak to nazwać, członek, prącie, penis. pyta. kutas. chuj. chyba chuj jest najbliższym lego bólu} poświęca na modlitwę do Janusza, żeby rozluźnić, nie zaciskać, żeby mniej bolało, ale i tak boli, Duży i Lepki nie ma czasu na grę wstępna, chce już pierwszym sztychem osiągnąć metę. Ciut Za Gruby nie ma czasu przeprosić za to, że ją rozrywa, to nie nasz-mały-przyjaciel leniwego kochanka, to chuj w pochwie, to nie spowolnione kadry amerykańskich filmów erotycznych, to mechaniczne dymanie chujem grubym i tępym, zbyt bolesne, by nie jęczeć („mówiłem, kurwo, że uduszę, jak piśniesz!“}), dobrze, już nie będzie, nie będzie, lecz oto Rozkręcony ma nowy pomysł, Boże, zemdleć, umrzeć, tylko nie to, przecież i tak ledwie się mieścił, zemdleć, Znienacka Od Tyłu nie może się wwier-

cić, pomaga więc sobie, plując na dłoń, umrzeć, zniknąć... K, Nędza mimowolnie ratuje sobie życie, tracąc przytomność, oprawca pozostanie bezimienny, tym razem nie zabije, tym razem tylko skopie bezwładne ciało, próbując je pobudzić do życia, do bólu, bezwładne ciało nieprzytomnej Nędzy nie da mu satysfakcji, więc je porzuci, spłoszony krokami w alejce, szybkimi męskimi krokami bacznie rozglądającego się wokół historyka, co to z nocnej wracał wycieczki.

K. Nędza stała się ofiarą gwałtu, a nie zabójstwa, jak wiemy, to zupełnie inny paragraf, można by rzec, że spotkało ją mniejsze zło, Anioł Stróż tyle mógł dla niej zrobić bez konsultacji z Najwyższym, na tyle mógł ugasić ogień, który trawił jej najczulsze połączenie, ogień z zimna parzący jak ostrze gilotyny- Lecz nie porzucamy nadziei na szczęśliwe zakończenie, bo oto Janusz, bezwiedny wybawca, dostaje od losu szansę, by zostać wybawcą świadomym, wracając od kochanki, znajduje na linii wzroku ciało, elektryzujący i straszliwy fakt ciała leżącego [więc może zwłok?] w straszliwej martwocie, ciała obnażonego i poniżonego (czy zwłok?), oto Janusz, przyspieszając kroku, nie bacząc na to, czy ciało (czy zwłoki?) niemo woła o pomoc, czy o pomstę, wracając bardzo pospiesznie do żony, wykonuje anonimowy telefon, informujący, że tu a tu leży, dzięki czemu przyjadą w porę, ci i tamci, radiowozem i karetką, a żona nawet nie zauważy, że kółko historyczne musiało mieć tego dnia wyjątkowo burzliwy przebieg.

K. Nędza patrzy na swoje stopy, bosc, nieruchome, spod kołdry wystające jak spod śniegu, patrzy na swoje ręce wzdłuż data ułożone na prześcieradle, wodzi wzrokiem po ścianach blado-beżowych. pod stropem nieco przykurzonych, zerka i dziwi się, że sufit jest tak wysoko, że tyle ją otacza pustej przestrzeni, niewypełnionej niczym trwałym, patrzy na stolik przy

łóżku, bierze do ręki kartkę pocztową, „pozdrowienia z Kołobrzegu przesyła Janusz z małżonką”, ogląda ją dokładnie z obu stron, jakby coś jeszcze miało się wyłonić z prostokątnego kawałka twardego papieru, oszczędnie zapisanego mało wyrazistym charakterem, odkłada kartkę na stolik, chwilę myśli, bierze pocztówkę jeszcze raz do ręki i powoli odrywając po kawałku, wkłada do ust, dokładnie przeżuwa i potyka, a niedobór śliny f „od kiedy mam dopisane te czerwone pigułki, tak mi ciągle sucho w ustach, czy pan doktor nie mógłby ich zmienić”) sprawia, że skrawek staje jej w gardle. Nędza krztusi się, łzawi, nie może złapać oddechu, więc przyciska guzik, pielęgniarka zjawia się prawie natychmiast i szczęśliwe pojmuje od razu, podaje szklanekę z wodą, uderza Nędzę delikatnie w plecy, potem przytula i mówi „No co pani narobiła, jeszcze nam się pani udławi i co będzie?”.

Nędza dochodzi do siebie, uspokaja oddech, daje znać, że już wszystko w porządku, że nie chce towarzystwa, a kiedy salowa wychodzi, z trudem podnosi się z łóżka i człapie w stronę okna. Z nosem przy szybie patrzy na plac przed budynkiem, na zaparkowane karetki, na spacerujące postaci w fartuchach i myśli, że dobrze byłoby już wrócić do domu, tylko musi sobie przypomnieć, gdzie to było, no i trochę rozplątać, ech, to znaczy, porozplątywać myśli, no i zalepić tę dziurkę w mózgu, przez którą jej wycieka światło, bo na razie to prowizoryczny opatrunek i może się rozlecieć, doktor mówił, że, że, zapomniała, ale coś mówił ważnego, taki ciepły, męski głos ma ten nasz doktor, „wszystko będzie dobrze, pani Nędza, wszystko będzie jak najlepiej”, już wiem. musi być dobrze, żeby tylko nie było pusto, pusto.

Nasza patronka między różami

Gdyby pan mógł głośno i wyraźnie, ja też nie słyszę za dobrze. Proszę jeszcze raz powtórzyć; najlepiej, żeby widział pana usta. Dobrze, tak właśnie jest dobrze. Ach, pyta pan o jego słuch. To ładnie z pana strony. On bardzo nie lubi, kiedy się go od razu pyta o matkę.

On mówi, że to nie od urodzenia. Że się od dziecka jakoś zawsze bał hałasów- czy to ciężarówek przejeżdżających, czy w mieście jakichś tam robót drogowych, nie mówiąc o burzy czy strzałach; zawsze zatykał uszy i płakał. To znaczy właśnie: nie dość, że miał słuch, to nawet wrażliwy bardzo, i chodził do ogniska muzycznego, już w przedszkolu; pamięta, jak na pierwszej lekcji pani mu coś tam o Esiu i Cesi, bajeczki o nutkach, a on się wierci! na stołku i wytrzymać nie mógł, i w końcu przerwał jej, zaczął grać, oczywiście nie od razu żadne tam sonaty, takie brzdąkanie dziecięce; to już była muzyka, improwizowana, ale wystarczyło; nie było już bajek ani ogniska, tylko szkoła muzyczna od razu i całe stado profesorskie skupione za nim, siedzącym przy olbrzymim instrumencie; stado w napięciu oczekujące, „no, zagraj”, więc znowu brzdąkał, chociaż bał się tych ludzi obcych, ale samo przebieranie palcami po klawiszach sprawiało mu przyjemność. Nie skupiał się na tym, co gra, nie słuchał, tylko bawił się palcami, przerywał, kiedy mu się znudziło, choć stado profesorskie było niepokieszone, „dlaczego tak w środku”. No i zawsze cichutko: mówi, że czuł, jakby bez jakiegoś tłumika się urodził, że wszystkie dźwięki do niego docierały przesycone do bólu (miał pan kiedyś wyciągane z uszu czopy woskowe, tak, no widzi pan, to wie pan, jak to jest zaraz po usunięciu, te wszystkie hałasy), taki dźwiękowstręt, on miał tak zawsze i trudno mu to było ukryć, no a dzieciaki bywają wredne, gdyby tylko wyczuły, co się święci, zaczęłyby go prześladować. Najgorzej, że mieszkali w takiej fatalnej dzielnicy; naprzeciw same robotnicze rodziny, wielki mrówkowiec z

jednej strony ulicy i pas willi po drugiej, niefortunny układ; pan może sobie wyobrazić, jak te dzieci się nienawidziły, tylko że te robotnicze mnożą się znacznie szybciej, więc w razie podwórkowych potyczek siły były nierówne, każdy z tych obdartusów miał jakiegoś brata, kuzyna albo po prostu starszego kolegę; wystarczyło coś odburknąć, wyrazić dezaprobatę choćby machnięciem ręki, nadepnąć na odcisk - zaraz słyszało się: „ijje-eee, mój bracik cię zgnoi, leca po niego”, i po takiej zapowiedzi nie było ratunku ani ucieczki, najwyżej odroczenie; kiedyś przecież trzeba było wyjść na ulicę, w końcu zawsze gdzieś czekali, pod wodzą bracika albo kuzynka, nie wiedzieć czemu tak zdrabnianych (mówi, że ich ciosy nie były zdrobniałe). Nie pamięta już wszystkich tych makabrycznych pomysłów; wie pan. im się nudziło: lak po prostu przypierdolić mu, przywitać i pożegnać kopniakiem - to było zbyt banalne, parę razy oberwał, to się otrzepał, wstał i szedł dalej swoją drogą, byle do skrzyżowania, byle się znaleźć za rogiem i uwolnić łyzy; widzieli, że znosi to łatwo, więc wymyślali inne pułapki (wychodził z domu właściwie tylko do szkoły i na muzykę, mieli to jak w zegarku).

Mówi, że go denerwuje, jak się pan wierci. Cierpliwości; trzeba umieć słuchać niemych.

Rodzice nie mogli go odprowadzać: ojciec bez przerwy jeździł w interesach, a matka miała lęk alergie, że od kwietnia do pierwszych śniegów nie wychodziła z domu. W jej pokoju też nigdy się nie otwierało okien w okresach pyleń, a kwiaty kochała nade wszystko, więc miała w mieszkaniu doniczkowy busz; ogrodu (mówi, że mieli najpiękniejszy ogród w mieście) sam doglądał, ona stała za szybą i wydawała polecenia przez taką śmieszoną krótkofalówkę (mówi, że teraz się takie daje dzieciom pod choinkę);

dzięki niemu mogła ten swój dobytek roślinny pielęgnować; a późną jesienią, kiedy już tylko kikuty sterczące w wyczekiwaniu na śnieg zostawały, kiedy już chwyciły przymrozki, ona wychodziła w czapce i grubym płaszczu, wyjmowała składany fotelik z szopy, siadała i wzdychała, rozkładała sobie gazety na stoliku i czytała; kiedy się kończył sezon ogródkowych spędów rodzinnych przy kiełbaskach, za plotami, u sąsiadów; kiedy już nawet znikły jesienne pszczoły, pijane do nieprzytomności od fermentujących gruszek leżących w trawie; kiedy już się dokonał ptasi exodus, jego matka rozpoczynała swój sezon. Przynosił jej gorącej herbaty - tak jak latem znosili z ojcem lodowate soki - i parasol, który ich chronił przed wściekłym sierpniowym słońcem, matkę zasłaniał już tylko przed zacinającym gradem, bo klasyczny deszcz też już o tej porze należał do rzadkości. Mówi, że matka była przeciwieństwem wszystkich ssaków zapadających w sen zimowy; wychodziła z nory wtedy, kiedy niedźwiedzie idą spać, a wiosną, kiedy się budzą, musiała się chować.

Śmieje się, widzi pan; Boże, jak on się rzadko śmieje...

Mówi, że wynajęli opiekunkę, żeby go odprowadzała, ale po pierwsze ta hołota i tak nic by sobie nie robiła z tego typu eskorty - bo co to ma być za obrońca, jakaś dziewczyna; w dodatku okazało się, że ona w jakiejś tam komitywie już wcześniej była z tymi blokowymi. Zanim się zorientował, zdążyła przygotować swoim koleżkom grunt pod najcelniejszy atak; bo on się nieopatrznie wygadał, w końcu nie mógł wiedzieć, co za jedna, w końcu dorosła dziewczyna, no i oficjalnie po jego stronie. Powiedział, jak go męczą: powiedział, że to wszystko jest do zniesienia, bo tak naprawdę tylko hałas, tylko ta przekłeta nadwrażliwość na dźwięki jest niebezpieczna, i. och, gdyby się o tym dowiedzieli, to go mają. Może nie była złośliwa, po

prostu bezgranicznie głupia; któryś z tych starszych owinał ją wokół palca, zakochała się, co przy tej głupocie dało fatalny efekt - mówiła temu bęcwałowi wszystko, spowiadała się nawet ze snów, a to był idiota, jeden z cięższych w okolicy, tyle że osiłek, więc miał pod sobą kohortę szalikowców; w dniu meczu nawet nie próbowała się do niego zbliżyć, od rana zdzierał gardło pod mordownikami: „mojaa jedyna miloooość to naasz kaees”, potem miał kłopoty z wejściem na stadion, bo mimo poważania wśród ochrony klubowej, którą tworzyli jego byli lub przyszli podopieczni, był zbyt pijany, żeby przejść przez kołowrotek o własnych siłach, a to już widzieli policjanci - mendy, czy jak ich tam nazywali, mniej-sza o to; ona w te dni musiała odczekać swoje, ale raz uczynił gest, och, tym ją już chyba zniewolił do deski grobowej, pozwolił jej wnieść pod bluzka petardy, bo dziewczyn nie obszukują, mogła z nim wejść na mecz. to brzmiało jak oświadczyńny, mogła stać przy nim w młynie i słuchać, jak wrzeszczy, jak daje solo i cały sektor powtarza jego słowa, słowa pieśni, och, jaka była dumna, musiała mieć całe mrowisko w majtkach, kobieta wodza (mówi, że zna cały ten romansik tak dobrze, bo mu opowiadała. odprowadzając go na muzykę, chwaliła się, bo nie miała innych słuchaczy; mówi. że nie skojarzył, o kogo chodzi, wzruszyła go ta jej szczerłość, więc się odwzajemnił, powiedział o uszach, no i parę dni później go dopadli). Ten bydlak czekał na nią, oczywiście wstawiony; speszyła się. zaczęła tłumaczyć, że idzie na muzykę z dzieciakiem, że teraz nie może. bo ją wyleją, zaśmiał się pijacko i powiedział, żeby się nie martwiła, że bachorem się zajmą młodziany, no i się nim zajęli; wyleźli zza jego pleców, cała blokowa śmietanka młodego pokolenia (mówi, że pierwszy raz mu się wtedy zdarzyło, że ze strachu nie mógł się ruszyć, gdyby nie to, być może zdążyłby uciec; wie pan, całkowity paraliż - nagle skojarzenie, ona. on. oni.

więc muszą wiedzieć, więc to już koniec- po prostu nie mógł się ruszyć), zaciągnęli go do bramy i zaczęli mu ryczeć do uszu. bez żadnych ceregieli, nawet bez złośliwych zapowiedzi, musiało im być pilno do nowej tortury, tak niecodziennej, ryczeli jeden po drugim, zmęczeni zmieniali się z innymi, dając odpocząć strunom głosowym, to był gwałt zbiorowy na jego słuchu, ale słyszał tylko pierwszych dwóch, na początku, wtedy poczuł, jakby mu włożyli w głowę laskę dynamitu i zdetonowali (mówi, że nie będzie więcej opisywał tego bólu, bo mógłby go zrozumieć tylko szaleniec), w każdym razie potem już tylko widział, jak otwierają ryje i ryczą dalej, przez chwilę myślał, że to ich jakiś kolejny żart diabelski, że zaczęli na niby wrzeszczeć, bezgłośnie, wyglądali tak dziwacznie, że zaczął się śmiać, te ich poczerwieniałe z wysiłku pyski przy jego policzkach, po dwóch naraz, jeden na jednouchu, i nic nie słysząc, nawet się nie szarpał, tylko śmiał, ale w końcu zrozumiał, co się stało. Mówi, że kiedy go puścili, bat się tylko jednego -bał się odezwać, bo wiedział, że nic nie usłyszy, nie usłyszy własnego głosu; przez całą drogę do domu odważył się tylko chrząkać. tak na próbę, chrząkać. żeby usłyszeć, ale nic; potem łyzy. dom, matka, zapłakany rzucił się jej w ramiona i zdobył się na słowo, powiedział „mamo”, ale nie usłyszał, powtarzał więc coraz głośniejsze i głośniejsze, krzyczał do niej, nic; próbowała go uspokoić, ale dopiero kiedy wezwała pogotowie i dostał dożylnie relanium, zamilkł; na zawsze zamilkł, bo i na zawsze stracił słuch. Mówi, że przestał mówić, bo nie mógł znieść tej bezgłośności; przestał rozpoznawać, czy już mówi, czy jeszcze myśli, a jeśli tak, czy czasem nie myśli na głos; dlatego tylko rękoma, na migi, wie pan. tylko tak może zachować kontrolę.

Akurat do grania słuch mu nie był potrzebny. Bo słyszał wszystko w środku. Mówi, że właściwie nawet lepiej mu się grało po utracie słuchu, bo

dźwięki, jakie rzeczywiście się dobywały z instrumentu, już mu nie przeszkadzały, nie rozpraszały tego skupienia; zawsze i tak słyszał to, co chciał, jego muzyka nie miała związku z tą, która docierała do cudzych uszu.

Do grania słuchu nie potrzebował, ale w życiu to katastrofa, utrata zmysłu. Rodzice nie mogli się pogodzić, szukali lekarzy, bioobmacywaczy. cudotwórców; ojciec wydzwaniał, dowiadywał się, woził go. płacąc hołszta-plerom jakieś kosmiczne sumy za samą nadzieję. Ale słyszenie się skończyło. Raz na zawsze.

Nauczył się czytać z ruchu warg; mówi. że w zasadzie nic się dla niego nie zmieniło na gorsze, teraz był już całkiem bezpieczny - największy wróg: hałas, całe to wysypisko śmieci fonicznych, z którymi się dotąd zmagał, zostało definitywnie usunięte. Nawet nie musiał zmieniać szkoły, po prostu siedział bliżej biurka, a nauczycielki specjalnie dla niego pracowały nad dykcją, no i nie wołały go do tablicy, odpowiadał wyłącznie pisemnie, a wie pan, że pisemnie zawsze coś tam można ściągnąć. Takie trochę się zaczęło rozpieszczanie przez tych nauczycieli, w gabinecie niezmiennie musiał rozbrzmiewać refren: „tak. tak. to straszna tragedia, takie zdolne dziecko, teraz trzeba bardzo ostrożnie”, faworyzowano go. ale bez przesady, w sam raz, żeby nie podpadł klasie.

Gówniarzeria z drugiej strony ulicy tymczasem, jakby przerażona skalą swojej zbrodni, zostawiła go w spokoju; miał ich w ręku. dopóki nie doniósł ojcu, to znaczy policji i tak dalej, aż do poprawczaka.

Oj, ja mu tego nawet nie powtórzę, co pan powiedział; co to ma znaczyć: „żeby jednak przeszedł do rzeczy, bo panu się c i u t k ę spieszy”? Co to w ogóle za słów pan używa jakichś takich? Czy pan sobie nie zdaje sprawy,

że to wszystko jest ważne, że to wszystko się wiąże? Czy pan sobie nie zdaje sprawy, jak trudno go było nakłonić do tego spotkania? No proszę, i tak wyczytał z pana warg; o, jak się zdenerwował. On mówi, że to on mówi i żeby go nie poganiać ani nie nadzorować wątków.

On to powiedział trochę nieładniej.

Matka się złamała; tak mówi: złamała się po cichu, bez trzasku, jak łydyżka. Z żalu, z bezradności, a może po prostu przyszła już pora na depresję. Ojciec mówił, że w tej rodzinie każdy depresję nosi w sobie śpiącą jak kangurzątko. ale ono się w końcu budzi i wystawia pyszczek, a jak już raz zobaczy świat, zasypia coraz rzadziej, chce się wydostać, wyrywa, aż w końcu uwalnia się na dobre - i tak właśnie się stało z matką. Przestała podlewać kwiaty. Było to dla nich tak niepojęte, że zauważyli dopiero, kiedy zaczęły usychać. Pytali ją: „ Popatrz, co się dzieje z roślinami; czy ty je na pewno podlewasz? ”, ale nie odpowiadała, mamrotała żałośnie jakieś sobie tylko znane mantry, ignorowała ich, wciąż powtarzając gest machnięcia ręki, co mogło równie dobrze oznaczać, żeby jej dali spokój, jak i to. że już i tak jest „po ptakach”, tak ogólnie, w związku ze wszystkim. Zaczęli podlewać za nią, tak jak w ogrodzie, ale nie pomogło. Nie chciały pić, jakby rozpoznawały obcą rękę - nie tę, która je karmiła przez całe życie; zdychały więc z głodu, wierne swej pani jak psy, które gardzą cudzą miską. A z matką było coraz gorzej. Przyszedł lekarz, przepisał pigułki, nawet zażywała, ale była tak roztargniona, że zapominała, czy już wzięła, czy nie, i zawsze brała jeszcze na wszelki wypadek, a jako że były to między innymi pigułki uspokajające, kiedy zażyła podwójną dawkę, była śpiąca i roztargniona jeszcze bardziej, więc zapominała i brała znowu, i tak snuła się lunatycznie, zupełnie już stracili z nią kontakt. Kiedy pozostały przy życiu same kaktusy, wynieśli resztę kikutków, zaschłych badyli, cały ten domo-

wy ugór; matka stałą się więc głównym rodzinnym obiektem zainteresowania i opieki.

Mówi, że cała jego głuchota zeszła, jako mniejsza uciążliwość, na drugi plan, z czasem wręcz przestała być zauważana, z przypadłości stała się cechą-wyróżniającą, lecz nie zubażającą. Cieszył się, bo nie musiał słuchać niczego wbrew woli; ale słyszał i tak; myśli, dźwięki odtwarzane przez pamięć, no i te przykre fantomy hałasów, piski w mózgu uciążliwe, choć nieistniejące, a przybierające na sile tym bardziej, im gorliwiej chciał się ich pozbyć.

Bo, wie pan, nie ma ciszy absolutnej. Mówi, że coś o tym wie.

Mówi, że jeśli pan mu jeszcze raz przerwie, to będziemy musieli pana odprowadzić do drzwi. Że i tak właśnie zamierzał mówić o matce, bez pana chrząknięć i spojrzeń na zegarek.

Próbowali na różne sposoby. Ojciec był już w domu prawie bez przerwy, jak nigdy dotąd.

Pilnowali jej. wydzielali tabletki, przemawiali jak do dziecka. Im bliżej wieczoru, tym było lepiej, nieco się ożywiała, wdawała się nawet w rozmowy z ojcem, co prawda najczęściej zupełnie niedorzeczne (rozpoznawała w nim zupełnie obcych ludzi, i to w ciągu jednej rozmowy, tak że wydawało jej się, że gada z kilkoma ludźmi naraz, jakżeż on się musiał wysilać, żeby taką rozmowę podtrzymać, żeby mu się nie pomyliło, kiedy jest panem Stasiem - dozorcą w matki kamienicy przed czterdziestu laty, kiedy doktorem, a kiedy na przykład samym sobą z czasów ich narzeczeństwa. Spać się kładła już najbardziej zbliżona do świadomości, raz nawet zauważyła przed zaśnięciem: „Och! A gdzie moje kwiaty?”, ale nie zdążyła zareagować, bo nocna dawka leków była najsilniejsza. Żeby odgonić koszmary, dawali jej środki nasenne, więc zapadała w ten syntetyczny sen jak w

narkozę. I rano znowu niczego nie pamiętała, wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Miała pamięć jak jętkę, nigdy się nie zdarzyło, żeby przetrwała więcej niż dzień. Pamiętka jednodniówka (znowu się śmieje); cha, niech pan to zapisze.

Mówi, że kiedy zabrakło im pomysłów, kupili jej psa. Sznaucera miniaturkę, w sam raz do pokoju. Zawsze chciała mieć. W krytycznych chwilach ludzie zaczynają spełniać marzenia swoich bliskich, tyle że wtedy już są to spełnienia niewczesne; krytyczne chwile to te, kiedy się już marzeń nie ma i zapomniało się, jakie one były. Nawet gdyby matka zdołała zauważyć tę drobinę życia, o którą powiększyła się jej przygnębialnia. fatum czuwało nad tym, by efekt tak czy inaczej przybrał postać katastrofy. Pies bowiem nie przejawiał typowej dla wieku szczenięcego witalności, snuł się zniechęcony po mieszkaniu, z rzadka zaglądając do miski z żarciem, obwąchując ją godzinami, zanim zdołał coś uszczknąć. Był chudy i nie szczekał. Nie reagował też na żadne imię; od początku zdawał się sobowtórem swej pani, którą zresztą ignorował ze wzajemnością. W końcu zaczął chodzić tyłem, tego już było za dużo, nie szukali nawet weterynarza-psychiatry, oddali zwierzę do azyłu (podobno zdechł po kilku tygodniach strajku głodowego). Zrozumieli, że coś musi być nie tak z miejscem. Że może matka gdzie indziej odżyje, jeśli ją ostrożnie przemieścić, nie narażając na pyłki. Bo bali się, że do jesieni może nie dotrzeć- A z całą pewnością sami by nie dotrwali.

Zorganizowali karetkę, butlę z tlenem, wszystkie medyczne środki gwarantujące bezpieczny transport; znaleźli pokój z odpowiednią wentylacją w sanatorium, odizolowany od zewnątrz, przetestowany przez najlepszych fachowców na brak alergenów; opłacili z góry kwartał kuracji.

Kiedy nadszedł dzień wyprowadzki, matka znikła. Nie mogli jej znaleźć w mieszkaniu. Ojciec wpadł w furję, bo wiedział, że matka na zewnątrz nie przeżyje dwóch godzin. Zaczął przetrząsać dom, potem ogród, na próżno. Dopiero wieczorem, kiedy już zasiedli w milczeniu i rezygnacji, kiedy wymownie spojrzeli po sobie, jak gdyby nigdy nic zjawiała się przy stole, I zanim chórem niemalże zakrzyknęli: „Gdzie byłaś?!”, znikła ponownie, tylko już przy nich, stopniowo blaknąc, wytracając kontury, przezroczyściejąc. „Nie, no to już jest zupełnie nie do zniesienia”, powiedział ojciec i wyciągnął rękę w jej stronę, tam gdzie niebyła, i macał powietrze, rzeźbiąc jej kształt. Lekarze byli bezsilni; nie znali pigułek na widzialność, a w tym stanie już donikąd przewieźć jej się nie dało. Zjawiała się od tej pory coraz rzadziej, na krótko, czasem na kilka minut - przy stole, przy oknie, w kuchni. Raz zastał ją parzącą herbatę, ale kiedy go zobaczyła, przestraszyła się i znikła; mówi, że miał potem wyrzuty sumienia, mogła się chociaż napić. Bóg jeden wie, czym się wtedy żywiła, nigdy jej nie zobaczyli jeżdżącej; może tam, gdzie przebywała, „kiedy jej nie było”, głód nie istniał; może wszystkie procesy fizjologiczne, wszystkie ludzkie potrzeby ulegały wyhamowaniu - bo, owszem, wyglądała coraz gorzej w tych krótkich okresach ujawnień, ale wciąż przecież żyła. Nie pozwalała się dotknąć; w ogóle zauważyli, że niknie w oczach, kiedy tylko się ją przyłapie na tym, że jest. Przestali więc szukać, oczekiwać objawień, dali jej spokój, żeby sobie mogła p o b y ć do woli w samotności.

Kiedy więc właściwie matka odeszła - nie w zapomnienie, ale właśnie w pamięć, kiedy krzątając się po domu, udawali, że o niej nie myślą, licząc na to, że zwiedziona tą pozorną obojętnością zacznie się częściej pokazywać, kiedy myśleli, że jest gdzieś tam między nimi, radio doniosło o cudzie. Radio jako pierwsze, bo to było specjalne radio od cudów, była też

telewizja o podobnym charakterze, ale nie dostała koncesji, dzięki Bogu (zapewne). Po takiej pierwszej wzmiance nikt się zbytnio nie przejmował, oczywiście nikt spoza tak zwanej rodziny tego specjalnego Radia - co jakiś czas księża ogłaszali cuda w eterze, mniej więcej wtedy, kiedy poprzedni cud przestał już kogokolwiek obchodzić, kiedy na przykład boski wizerunek na zmrożonej szybie po prostu stopniał. Ojciec powiedział, że opis się zgadza, że trzeba natychmiast jechać tam, gdzie „dziewczynka i chłopczyk zobaczyli, wracając z lekcji religii”, bo przecież ona się udusi, teraz wszystko w największym rozkwicie, a to właśnie „przechodząc obok ogrodu botanicznego, zajrzeli do środka, a tam”, jechać, jechać, może jeszcze nie jest za późno, może uda się odratować, „Maryja, nasza patronka, między różami ukazała się maluczkim”. Pojechali, a tam wszystko już zablokowane, tłumy i kolejki, bo jednak na skalę regionu to była sensacja, wszyscy tego radia słuchający na co dzień przybyli jak zwykle, żeby zobaczyć Miejsce, więc ojciec zaraz wpadł na pomysł: „tu jest głuchy; głuchy chłopiec, przepuście”. Natychmiast w szemraniach się rozstąpili, zrobili taki żywy korytarz, „będzie cud, będzie cud”, mówili i przepuszczali, patrząc z uznaniem, a nawet zazdrością, że sami nie mogą dać się uzdrowić, że nie są ślepi, chromi i tak dalej, choć może i dobrze, niech chłopiec pójdzie na próbę, a potem już będą przyprowadzać, kogo trzeba. Tam wśród grządek już oczywiście stał ołtarzyk i wieńce, świece, dewocjonaalia, więc nie mieli z ojcem złudzeń, byli pewni, że matka się nie pokaże już zupełnie, w każdym razie nie tej zbieraninie. Szukali śladów: nie mogła odejść daleko, ale ten tłum się zaczął niecierpliwić, „no módlcie się, módlcie, niech dziecko uklęknie w Miejscu”, już nawet ich poszarpywali, to stawało się niebezpieczne. I wtedy ojciec zobaczy! w ziemi ślad jej sandała, „o, tędy szła”, pokazał, a ludzie wszyscy rzucili się w przepychankach, żeby

obejrzeć Ślad Stopy, i od razu zaczęli wykrzykiwać co przydatniejsze pomysły, że może by zacementować, wystawić w bazylice. Odcisk Boży; widzi pan, znowu się śmieje. Mówi, że nie rozumie, czemu oni zawsze adorują miejsce, w którym im się objawia Matka Boska, jakby nie mogła sobie po prostu spacerować tu i ówdzie: zawsze w tym jednym miejscu musi się pokazać koniecznie po raz drugi, przecież to nielogiczne; ale się roześmiał, o Jesku,

Ale wtedy mu nie było do śmiechu, bo sobie zdał sprawę, że to ostatnia wędrownica matki, niezależnie od tego, czyby się udało odtworzyć jej trasę. Chodzili z ojcem po alpinariach, szklarniach, między grządkami i w arboretum, zajrzeli pod każdy liść i czuli, że wszędzie tam była, że zwiedziła tę dumę miasta dokładnie, jakby ją chciała porównać z własnym dziełem, dogładanym z okna przez całe życie; czuli też jednak, że wszędzie tam już była, zadziwieni tą determinacją, mocniejszą niż alergia, bo pozwoliła jej zobaczyć tak wiele, zanim oddech stał się zbyt płytki, by mogła się w nim swobodnie zanurzyć.

Nie znaleźli matki tego dnia; wrócili zmordowani do domu i dopiero rano ojciec, otwierając w jej pokoju okno po raz pierwszy od kilkudziesięciu lipców, spojrział na ogród przed domem i wymówił jej imię. Siedziała w swoim składanym fotelu, pod ogrodowym parasolem, jak w te wszystkie zimy i jesienie, wreszcie znów widzialna, namacalna, prawdziwa i spokojna, już na zawsze.

Mówi, że już skończył. Matka leży pod czereśnią, sam pan znajdzie mogiłę. Mówi, że dużo więcej by opowiedział, ale to już nie panu. Może pan przystać kogoś mniej nerwowego. Do widzenia. (Proszę zrozumieć, on chce sobie teraz trochę pograć,)

Malizm reagiczny

Zaczęto się od kataru.

Och, on był zawsze śmiertelnie chory na wszystko, najdrobniejsze przeziębienie przeżywał, jakby go miało wykończyć, to się nazywa hipochondria, no więc te wszystkie jego hipochondroby przeżywałam i ja, wszystkie mordercze katary, nieuleczalne wysypki, bóle żołądka, biegałam za nim z herbatką miętową przed zaśnięciem, z termometrem, żeby mu pokazać, że ma trzydzieści sześć i osiem, co nazywał stanem podgorączkowym i ordynował sobie dzień leżenia w łóżku, oczywiście usiłował mnie do niego zaciągnąć, mówił: „Chodź, przekitłasiemy dzisiaj cały dzionek pod kołderką”, i wtedy był zdrowy, ale też i na to miał wytłumaczenie, twierdził, że to naturalne, że miłość i aktywność seksualna mają walor terapeutyczny. Ja już byłam dość znieczulona na te jego umierania, sama sobie byłam winna, rozpieściłam go tak, że lubił chorować na niby, tylko po to, żeby się nim zajmowała, żeby się krzątała wokół jego łoża śmierci, na którym w najlepsze uprawiał sobie remanent prasowy z ostatnich tygodni, a ja latałam do apteki po lekarstwa. do spożywczego po łakocie dla biedactwa, tak, znieczuliłam się w końcu do tego stopnia, że kiedy rozbił sobie łuk brwiowy i zobaczyłam krew, prawdziwą jego krew, nie wiedziałam, jak się zachować. Do tej pory układ był czytelny - on udawał, że choruje, ja udawałam, że go lecę - teraz oboje byliśmy zdziwieni, że wszystko się dzieje naprawdę, jego łuk brwiowy tryumfalnie krwawił, kiedy rąbnął o kant stołu po zakończonych sukcesem poszukiwaniach kapcia, „jest”, krzyknął i wyrzwał czołem, i krew, oczywiście zemdlał zaraz po tym, jak do niego dotarło, że to jego krew się leje, ja miałam na głowie pogotowie, a potem miesiąc tłumaczenia mu, że po prostu zranił sobie skórę w czułym

miejscu i nie będzie miał od tego ani raka mózgu, ani krwiaka pod czaszką, czekającego tylko, żeby pęknąć i wykończyć go raz na zawsze. Nic z tego, dopiero tomografia, zrobiona z powodu nieustannego uskarżania się na ucisk pod czaszką, wykazała, jaki ma śliczny, zdrowy mózdzek, mogłam go podziwiać warstwa po warstwie, szukając nie tyle urojonego krwiaka, ile tej nieokreślonej przestrzeni, w której musiała kryć się tajemnica tego przyciągania, tej miłości, ośrodek tej siły, która trzymała mnie przy nim wbrew rozsądkowi i jeszcze czyniła szczęśliwą, szukałam, rozglądałam się. przez ramię lekarza zerkając na ekran, nic, „piękny, czysty mózg, pani mąż jest zdrow jak ryba. tylko niech ostrożniej się schyla po pantofle”. Kiedy wyjeżdżał z tej maszyny nogami do przodu, z głową pozalepianą czujnikami, trzęsąc się z zimna, bo sprzęt był stale chłodzony, pomyślałam, że to biedne stworzenie trzeba kochać, że niekochany umarłby z głodu po trzech dniach powtarzania w kółko: „Jak to?” „Umrę?”, zapytał, odpakowywany przez pielęgniarki. „Nie przy mnie”, odparłam, wręczając mu zapis graficzny jego geniuszu. „To mój?! O Boże,-”, i już do nocy wpatrywał się we własny mózg z czułością należną noworodkowi, jakby się spodziewał, że czyj jak czyj. ale jego mózg musi się różnić, bo sens jego istnienia tkwi w różnicy, a kiedy niczego nie znalazł, zaczął kiachać.

Kochałam go ślepo, bezkrytycznie, i mimo że zdawałam sobie sprawę, jak wiele ze swojego dzieciennienia zawdzięczał matce, nie potrafiłam zapobiec wcieleniu się w nią, popełniałam jej błędy, dawałam mu się wciągnąć w układ, w którym zamiast być mu partnerką, byłam opiekunką. Najpierw była euforia, jak to po ślubie, potem poczucie, że trzeba być wyrozumiałą, że jego zalety rekompensują tych kilka przypadłości charakteru, z jakimi co prawda nie mogłam się pogodzić, ale i nie miałam odwagi ich zwal-

czać. Jednak po czterech latach poczułam się zmęczona, piekielnie zmęczona, pomyślałam, że to chwilowe, że przeczekałam, przejdzie mi i znowu będę silna, jak dawniej, w końcu kryzysy się zdarzają w każdym małżeństwie, zacisnęłam więc zęby i chciałam to jakoś przetrwać, nic mu nie mówiąc, ale wtedy właśnie, och, po prostu trafił w zły okres, właśnie wtedy ta historia, luk, tomografia, a potem katar. Nie przechodził mu. dzień, tydzień, drugi, chodził i smarkał całymi dniami, kupowałam mu kilogramy chusteczek, wszędzie było ich pełno, rozrzucił je po podłodze, zmięte poklejone kulki, musiałam po nim sprzątać, w końcu się zatkał kibel, już czułam, że nie wytrzymuję, on oczywiście był załamany, leżał na tapczanie i jęczał, że się udusi, że nie chce mu się żyć, być może domyślał się, że dzieje się coś we mnie, że skaczę wokół niego jakby ospałe, że pocieszam go jakby bez przekonania, aż postanowiłam, że muszę odpocząć, dla jego i mojego dobra, spakowałam się i zadzwoniłam do mamy, że przyjadę na tydzień, może dziesięć dni, że on jest bardzo zapracowany i prosił o spokój, o taki mały eksperyment, jak mu się będzie pisało beze mnie, czy wytrzyma, tak to tłumaczyłam mamie, nie chciałam mówić, jak jest naprawdę, wiedziałam, co od niej usłyszę: „Zawsze ci powtarzałam, że tu wrócisz, zawsze”. Byłam już spakowana i weszłam do jego pokoju, żeby się pożegnać i wyjaśnić jakoś, nie wiedziałam jak. chciałam tylko być stanowcza, to było konieczne, żadnych błagań, żadnych litowań się, bo on umiał przeproszać jak nikt, on umiał odwozić od postanowień, weszłam więc i zobaczyłam, że siedzi przy lustrze i trzyma się za głowę, zamiast powiedzieć „wyjeżdżam”, zapytałam: „Co ci jest?”, a on, wciąż patrząc w to lustro, takim zdechłym głosem: „Ta głowa... jakby się chciała skurczyć”, i wtedy już niczego nie mówiąc, wyszłam, wyjechałam pierwszym pociągiem.

Dzień nie minął, już chciałam wracać, nie mogłam przestać myśleć o nim, Boże. cztery lata małżeństwa i jeszcze rok przed ślubem, przez pięć lat nie było dnia. żebyśmy się nie widzieli, wszędzie razem, nawet jak jeździł gdzieś na te swoje sympozja, nigdy nie zostawał na noc, spał w pociągu i zawsze zdążył przed świtem, wiedział, że bez niego nie zasnę, całe noce czekałam, aż usłyszę, że wraca, że furka skrzypi, potem stukot na schodach, po dwa stopnie, spieszył się do mnie, brzęk kluczy i już jego ciepły oddech nade mną, całował w policzek, „Tylko zmyję z siebie ten pociąg”, mówił, idąc do łazienki, i to wystarczało, już mogłam spać, wracał umyty i czułam przez sen jego wychłodzone ciało, jak się wtula w moje gorącości nocne, czułam, że skóra moja cała się uśmiecha, czułam, że i ja się uśmiecham, śniąc.

Więc wystarczyło tych parę godzin sto kilometrów od niego, który został z tym swoim katarem, i już żal i tęsknota, i gdyby nie matka powstrzymująca mnie: „Przestań się wygłupiać, dopiero przyjechałaś, nic mu nie będzie, dobrze mu zrobi, jak poczuje, że bez ciebie jest nikim, poczekaj parę dni, a przynajmniej do jutra”, ale nie słuchałam, rwałam się do powrotu, więc zatrzymała mnie siłą, zamknęła w pokoju i choć tłukłam się jak histeryczka, waliłam w drzwi, otwarła dopiero po odjeździe ostatniego pociągu, weszła z kolacją i powiedziała: „Zjedz, a potem zadzwoń do niego, jeśli musisz”. Ale nie, już się dokonało, tej nocy mieliśmy się nie widzieć i świadomość tej nieuchronności jakby coś we mnie przegryzła, pomyślałam, stało się. więc może to przedłużyć, sprawdzić, ile wytrzymam, skoro telefon był pod ręką. zadzwonić mogłam w każdej chwili, a skoro mogłam, sama możliwość była w stanie mnie nasycić, w dzieciństwie też walczyłam z łakomstwem tak intensywnie, wyobrażając sobie zjedanie ciastka, że wystarczało mi to za całe obżarstwo; wyobraziłam więc sobie,

że dzwonię, słyszę jego uzalania, przeprosiny, skomlenia, i już miałam dosyć, poza tym musiał się domyślać, gdzie jestem, sam mógł zatelefonować, poza tym... zasnęłam, bez próbie-mów. od razu, twardym, głębokim, zdrowym snem, bez wierceń się, przewracań z boku na bok, pierwszy raz od pięciu lat zasnęłam bez niego, a rano, po przebudzeniu, wiedziałam, że nie wrócę takie tego dnia i następnego, i nawet nie zauważyłam, jak minął tydzień, potem drugi, aż dwudziestego dnia odebrałam telefon i usłyszałam ten głos. ten ledwie słyszalny, piskliwy głosik, prawie szept, ale raczej mysi niż ludzki, choć to był jego głos. tylko on mógł do mnie powiedzieć: „Wróc. znikam bez ciebie”, i spakowałam się w pięć minut, dla tego jednego zdania znów byłam w pełni sił i gotowości, jadąc do niego, przeklinałam w duchu bezlitosność rozkładów jazdy, bo nie można było mieć nadziei, że się przyjedzie przed czasem, jechałam do niego i, rany boskie, przez myśl mi nie przeszło, żeby traktować to zdanie, które wzięłam za miłosny rachunek sumienia, żeby traktować je. cholera, dosłownie.

Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że dostał ataku szału i zdemolował mieszkanie, wiedziałam jednak, że to efekt systematycznego pogrążania się w bezsilności wobec życia, które nagle brutalnie ujawniło rachunki porządków, codzienne drobne opłaty wysiłku, bez których ani rusz, brutalnie obnażyło, jak wielu się domaga odwracaczy uwagi, rozpraszaczy (on tak nazywał „wszystkie te pierdołowate czynności, którymi intelektualista nie jest w stanie się zajmować”). Siedział w tym bajzlu własnoręcznie zrobionym, przy oknie, zobaczyłam go z tyłu, zauważyłam, że miał włożoną czapkę, ale jakoś tak głęboko, dziwnie nasuniętą, zapytałam: „Zimno ci?”, a on, nie odwróciwszy się. powiedział, a raczej wypiszczął mysim falsem coś pod nosem, pomyślałam, że może się zakrztusił, może jakieś ziarnko pieprzu zawieruszyło mu się w przełyku, musi je tylko odchrząk-

nać i zaraz powtórzy głośniej, po ludzku. odwróci się, wstanie i przywita ze mną. ale nie. sięgnął po mikrofon (skąd wziął mikrofon?!) i tym samym cienkim zawodzeniem, tyle że wyraźniejszym, wzmocnionym, powiedział: „Już mnie nie słyszać, no właśnie”. Gdybym była drzewem, wszystkie ptaki opadłyby ze mnie martwe: to było szaleństwo jakieś męczące błyskawicznie, mój mąż siedział w sierpniowe południe w czapce i popiskiwał do mikrofonu, pomyślałam więc, że to kara boska za moje z wątpienie, że chciałam uciec, nie mając powodów, że byłam słaba, ubrdałam sobie jakiś kryzys, naczytałam się w gazetach i zwiałam, i za to teraz muszę znieść coś więcej, jakąś potworność o zwielokrotnionej sile. muszę odpokutować za próbę dezercji, może chodzi tylko o test na wytrzymałość, może jeśli zachowam się jak gdyby nigdy nic, podejść i przytulę go. okaże się, że udawał, że się bawił znowu w wariata, i zrobiłam krok w jego stronę, by usłyszeć wrzask-pisk i poczuć jakby tysiąc gwoździ w każdym kręgu, od stóp aż po ciemność: „Nie zbliżaj się do mnie!!!”, no to stanęłam, a on się odwrócił, i zanim mój mózg skonfundowany nadmiarem absurdu odmówił przyjęcia dostawy tlenu, zanim organizm zlitował się nade mną i zafundował mi przerwę w świadomości, słowem, nim kobiecość zstąpiła na mnie jak *deus ex machina*, już mdlejąc, zobaczyłam, a raczej nie zobaczyłam w miejscu, w którym, to pewne, powinna się znajdować głowa mojego małżonka, tak jak każdego innego człowieka, nie zobaczyłam tam niczego ludzkiego, i już nieprzytomna w trzech czwartych, już w drodze do horyzontalnego bezwładu, już osuwając się nieuchronnie, pojęłam, że to, co do mnie mówiło, wyrastało na cienkiej łodyżce, która kiedyś była szyją, i przypominało raczej większą makówkę niż głowę łebskiego przecież facecia, za którego, psiakrew, kiedyś wyszłam.

Oczywiście leżałam tam, gdzie upadłam, to znaczy po ocknięciu się. a po tym. jak słońce padało na parkiet, widać było. że moje leżenie trwało wystarczająco długo, by przynajmniej przenieść mnie na łóżko i podjąć próby cuceń, ale - w końcu wyobrażałam sobie setki razy, jak mój mąż się zachowa w przypadku jakiejś nagiej mojej słabości -doszłam do wniosku, że powinnam nosić na szyi kartkę z dokładną instrukcją postępowania z nieprzytomnym, z numerem pogotowia i tak dalej. Język mi ścierpł i głowa jeszcze nie znalazła środka ciężkości, wsparta na łokciach rozejrzałam się po pokoju, gdzieś zza biurka dobiegały jego piski; „mi mimi mi mi”, coś tam gorączkowo mamrotał, przesunęłam się nieco i zobaczyłam, że grzebie, składa jakieś części bezradnie, „mimi mi mi mimi”. pewnie przeklinając pod nosem, wyglądało na to, że mikrofon wypadł mu z ręki i się rozbił o podłogę, że już do końca będę słyszała tylko ten mysi bełkot, i wtedy mnie zobaczył, „mmiiiiii!!” krzyknął (?) i schował się w kącie za szafą. Nie miałam siły ni ochoty na niego patrzeć ani też. wciąż jeszcze, podnieść się z podłogi, powiedziałam więc: „To może napisz mi, co się dzieje”. Znowu „mi mi”, a potem szuranie, wysuwanie szuflady, odwróciłam się, żeby nie widzieć, szelest papieru i skrobanie, zmiął w kulkę i rzucił, podniosłam, rozwinęłam, przeczytałam: „Tracę głowę przez ciebie”.

Oczywiście, to mógł być dobry dowcip. Dość złożony i wymagający finezji, ale właśnie tego po mężu się mogłam spodziewać, Tyle że miałam akurat złe samopoczucie humoru. Powinno być mi go żal. ale nie było. Cała tęsknota spłynęła ze mnie razem z potem, kiedy wstałam niepewnie i patrząc na jego stopy wystające zza węgła szafy, zapytałam: „Mógłbyś mi chociaż przynieść wody?” Stopy się zawahały, pomyślałam sobie, cóż. wreszcie coś jednoznacznie ponad moje siły. wreszcie nie muszę mieć wyrzutów sumienia, to mnie przerosło, przykro mi, swoje odkochałam, jak

należy, teraz przydadzą mi się wakacje, są granice szaleństwa, które można znosić w imię poczucia misji, bo jest się żoną potencjalnego geniusza, przyszłego, daj Boże, noblisty, ale z całą pewnością ta granica pozostała już za nami o wiele kilometrów; stopy przestały się wahać i wyłonił się zza szary, zasłaniając tę swoją makówkę jedną ręką, już tyle wystarczało, i poleciał do kuchni.

Najbardziej nieznośne było to, że kurczył się tylko od karku wzwyż, że ten łebek na szypuł-ce wyrastał z normalnego, w pełni rozwiniętego męskiego ciała, które, jak się wydawało, znałam na pamięć. Nawet w tym był niekonsekwentny, nieskoordynowany jakiś; gdyby cały małał, miałabym jego proporcjonalną miniaturkę, prywatnego Tomcia Palucha, mogłabym mu kupić ubranka, spałby w pudełku po butach, pisał ogryzkiem ołówka, a ja z lupą przepisywałabym jego teksty do publikacji; gdyby wciąż małał, nosiłabym go w kieszeni bluzki jak kangurzątko, a potem jak broszkę, i pewnie w końcu umarłby od ukąszenia komara, co nawet kiedyś nie było dla niego takie niemożliwe, zawsze twierdził, że ma alergię na komary i wystarczy kilka ukąszeń w to samo miejsce (komary lubią przetarte ścieżki), a dostanie zakażenia i koniec, kropka, wieniec na świeżym grobie, tylko żeby mu nie grali Chopina, a pierwsze *lento* z *Trzeciej* Góreckiego, i żeby się nauczyła śpiewać „Synku miły i wybrany”, masz piękny głos, mówił, tylko ciebie chcę słyszeć, „Rozdziel z matką swoje rany”, ucz się, bo przyjdzie co do czego i będziesz śpiewała z kartki, „A wszakom cię, synku miły”, nawet nad grobem miałam mu być matką, „W swem sercu nosiła”, a w ogóle to chciał, żeby go spalić, bo nie ma zamiaru się rozkładać, żadnego robactwa, bo ma alergię.

Oto więc największa pokraczność tkwiła w niefortunnym zestawieniu pomniejszonej łepetynki z rozwiniętą resztą ciała, to był akord okropnie fał-

szywy, nieprzemyślany jakby, chciało mi się go zapytać już nie „co się z tobą dzieje?”, lecz „dlaczego tylko głowa?”. Bo patrzyłam, już mogłam, przyniósł wodę i usiadł naprzeciw w fotelu, nie zasłaniał się, już taki był prowokująco jawny. Pamiętałam nasze rozmowy, kiedy pytał: „A co, gdybym był kaleką?”, mówiłam: „Kochałabym cię tym bardziej”, „Gdybym stracił rękę, nogę, wzrok?”, „ Oddałabym ci swoje”. No to patrzyłam, Ale głowy bym za niego nie dała. To nie było kalectwo, (o była jakaś magiczna fanaberia, którą - czułam -wymierzono we mnie. Przez cały ten związek nie wierzyłam w żadną z jego chorób, bo były urojone, teraz nie wierzyłam w urojenie, bo było chore, ale wyraźne, realne, miałam go przed sobą, mężczyznę z twarzą podobnym polipem, piszącego do mnie na fiszkach.

„Nie uważasz, że to powinien zobaczyć lekarz?”, zapytałam z głupia frant, żeby powiedzieć cokolwiek stosownego (ale skąd mielibyśmy wiedzieć, co jest stosowne w sytuacjach bez precedensu). Przyfrunęła karteczka: „TEGO nie powinien już nikt zobaczyć”. I jego oczka zrobiły się szkliste, aż się przestraszyłam, że tak mała głowa może pęknąć od nadmiaru uzalania się. „Chodź tu”, powiedziałam i zaraz podbiegł poślimtany. Chciałam go przytulić, ale taki był nieporęczny, coś tam „mi mi” znów zagadał, nadstawiłam ucha i tak z twarzą w moje ucho stał się słyszalny wreszcie, „To wszystko dlatego, że mnie nie kochasz”, hyp. zanosił się jak niemowlę, „Uspokój się, nie bądź dzieckiem”, ja do niego, już nawet dość rozdrażniona, bo to niedawne bluźnierstwo stawało się teraz prawdą uwierającą, i oburzenie we mnie rodziło się. że nie zdążyłam jeszcze sobie samej powiedzieć tego, co on mi tu, w uchu: „Nie kochasz”, hyp. „Przestań!”, i odepchnęłam nie tyle gwałtownie, ile niedelikatnie, tylko tak, żeby zaznaczyć stanowczość, aż główka szarpnęła się do tyłu na łożycie i ta się prawie złamała, zatoczył się cały, ale utrzymał równowagę, tylko że. rany

boskie, na moich oczach łebek zmałał jeszcze bardziej, teraz już do wielkości kasztana na zapałce, jak w przedszkolnych zabawkach, tego już za wiele, chciałam uciec, ale wciąż było mi za ciężko, za słabo, w fotel wgniecenie i niech się dzieje, co chce, lecz zaraz potem żal potworny, że przecież taką kruchość naraziłam na szwank, że już nad sobą nie panuję, zmysły postradałam, jak można z minuty na minutę Kocham, nie Kocham, mój, nie mój, i to rozdwojenie już zostało, te dwie części moje. z których jedna cały ten obłęd brała za ostateczny *casus belli* i kazała wynieść się. gdzie pieprz rośnie, a druga wypowiadała rzeczowniki: małżeństwo, miłość, wierność, wspólnota na dobre i złe. I spodziewałam się teraz rozdierającej sceny rozpaczony po odtrąceniu, i już miałam przeproszać i tak dalej, ale nie - jednak coś w nim nie zaskoczyło, jakiś trybik się zatarł, a może po prostu z opóźnieniem dotarło do niego, że znów się skurczył, w każdym razie po chwili złapał się za serce, zaczął nabierać pyszczkiem haustów powietrza jak gupik-harcownik, który przeliczy! się przy skoku i wypadł poza rzeczywistość akwarium ciężko się podparł o biurko i zasłabł. Nie czekałam, aż straci przytomność. Zanim przyjechała karetka, włożyłam mu usztywniony kapturek z peleryny muszkietera po sylwestrowej maskaradzie.

Spał pod kroplówką. Cały przykryty kołdrą, tylko główka mu wystawała, złożona na przepastnej poduszce. Patrzyłam z nosem przy szybie izolatki, czy aby niezbyt wierci się przez sen, bo gotów skrócić sobie karczek. Lekarz przyszedł, wreszcie wolny, zdjął jakieś tam rękawice, fartuchy i myjąc ręce, powiedział: „Taak, teraz możemy porozmawiać”. Zanim się do niego odwróciłam, na odchodnym spoglądając na mojego męża, postanowiłam, że co bądź zdarzy się jeszcze, póki nie wróci do zdrowia, lub też

póki nie... w każdym razie, nim się wszystko zakończy definitywnie w tę lub we w tę, będę przy nim, dla niego, w związku z nim.

„Przede wszystkim muszę panią uspokoić, pani mąż od tego nie umrze”.

No to mogłam usiąść, popatrzeć przez okno i zauważyć dzień, chmurę, drzewo, gołębia na parapecie, wszystko po coś. Ja po coś. on po coś. Sensy. Łzy mogłam wypuścić na wolność, nie były już potrzebne.

„Rozumiem, że płacze pani ze szczęścia, choć sprawa nie jest tak oczywista, jak byśmy wszyscy chcieli”.

Stop-klatka- Nawet krew na tę chwilę się zatrzymała, czekając na informację, czy warto płynąć dalej.

„Domyślam się. że od pewnego czasu pani kontakt z małżonkiem był cokolwiek utrudniony. Niestety, mam podstawy sądzić, że w tej materii nic się już nie poprawi”.

Słuchałam- Po prostu słuchałam. Gołąb odfrunął. Tyłem.

„To rzadka choroba. Na tyle, że nie ośmielono się jej dotąd nazwać. Wie pani, w medycynie to, co zostaje nazwane, tym samym ma się za opisane, oswojone, pojęte. Nazwać patologię to pierwszy krok do tego. by ją ujarzmić. My jeszcze nie zrobiliśmy pierwszego kroku w przypadku tego, co spotkało pani męża. Ale co do genezy choroby i. zwłaszcza, jej przebiegu prawie nie mamy wątpliwości”.

Był opanowany do szaleństwa, jak przystało na ordynatora; zawsze ten spikerski *timbre*, nienaganna dykcja, głębokie spojrzenie. Szukałam, gdzieś musiało uciec to „prawie nie mamy”, to -rzadka choroba”, gdzieś musiał wepchnąć niepewność na czas tej rozmowy, szukałam, ad) tak, długopis, banalny, niejako standardowy rekwizyt wyładowań czynnika ludzkiego, bawił się pan doktor długopisem, obracał go w palcach. drzączka-

wych nieco, całą słabość z najodleglejszych zakamarków swojej prywatności, swojej po godzinach nieordynatorowości ściągnając w długopis, a kiedy biedaczyna zobaczył, że go przyłapałam, pomylił się w kolejnej sekwencji ruchów i długopisik upadł, niezgrabnie odbił się od biurka i spadł niżej, na podłogę, pod stolik, pod moje nogi. Chrząknął, uśmiechnął się nerwowo, „przepraszam” beknął, poprawił okulary, zamrugmrużać się przy mruganiu i jego opanowanie runęło niczym peleton kolarzy podcięty upadkiem prowadzącego. Wykonał ruch, jakby chciał się schylić, ale machnął ręką, takim półmachem, z taką miną „e tam”, i poczułam, że cała jego dystynkcja obraca się przeciw niemu w dwójnasób, że się zgubił w sobie, w swojej urzędowości-lekarskości utraconej, i woła teraz w myślach pomocy, mamó, tato. wilki, las ciemny, ratujcie.

„Słucham pana”, powiedziałam do niego jak do studenta, któremu trafiło się niewłaściwe zagadnienie i czeka na cud, na pytania pomocnicze.

„Itak, no właśnie. Więc pani mąż... jest jeszcze we wczesnym stadium. Zresztą, ech,.. proszę, proszę ze mną. sama pani zobaczy”.

Wdarłam się w to wtajemniczenie; gdybym nie podstawiła nogi jego pewności, niczego by mi nie pokazał, użyłby jeszcze kilku zdań wypolerowanych i w końcu, składając ręce, powiedziałby coś o dzielności, że muszę być dzielna. Kiedy mu zabrakło słów, kiedy mu je odebrałam, musiał się wyręczyć, zabrał mnie parę korytarzy dalej, weszliśmy do zaciemnionej sali, powiedział coś do pielęgniarki, ruszyły żaluzje, wpadło światło, rażące, i zobaczyłam po chwili rzędy łóżek, w każdym to samo, wszędzie leżeli faceci bez głów. Zupełnie bez głów.

Uprzedził moje pytanie; „Tak, oni żyją. Proszę, pani pozwoli”. I podeszliśmy do jednego z nich. Nad poduszką, na podeście zawieszony był mikroskop. „Proszę spojrzeć”. Zobaczyłam w powiększeniu głowę śpiącego

mężczyzny w średnim wieku, z przyjemnym nalotem siwizny na skroniach, wydawał się spać spokojnie, żadnych grymasów, taka przystojność przeszenna.

„To też stosunkowo wczesna faza. Kiedy się budzi, możemy przez mikroskop czytać z ruchu jego warg. Z większością już nigdy nie odzyskamy kontaktu”.

Poprosiłam, żebyśmy wyszli. Na przykład na taras jakiś, balkonik- Tam gdzie powietrze, tam gdzie można by się na moment wydostać poza nawias tego budynku. Bo w tej klinice (rzeczywistość) wymawiało się w nawiasie, bez wątpienia.

„Wiemy już, że to coś w rodzaju paradoksu Zenona Eleaty. Kiedy dochodzi do rzutów choroby, ich głowy zmniejszają się zawsze o połowę. Wobec czego nigdy nie znikną, choć nie przestaną się kurczyć”.

Był balkon, było powietrze i park-spacerniak w dole. Normalni ludzie w piżamach, szlafrokach i osoby towarzyszące. Wyglądało na to, że niczego im nie brakuje. Doktor pozwolił sobie na papie roska.

„Pierwszy z nich dostał się do nas piętnaście lat temu. Żaden z pacjentów jeszcze nie umarł, wro pani, to bardzo niejednoznaczna sytuacja. W razie przedłużającej się komy zwykle odłącza się pacjentów od aparatury podtrzymującej, ale oni. żyją także umysłem, są świadomi, tyle że, jak by to powiedzieć, w pewnym momencie tracą kontrolę nad resztą ciała, trudno sobie wyobrazić w jakiej rzeczywistości znajduje się teraz pacjent po trzydziestu tysięcznym rzucie, nie ma takiego sprzętu; za każdym razem dystans między rzutami maleje o połowę, tak że najstarsi z nich - w sensie «stażu» - przeżywają permanentny, szalony pęd regresyjny, zmniejszają się z niewyobrażalną prędkością, wciąż rosnącą, dlatego prawdopodobnie psychicznie też są martwi, żaden ludzki umysł nie mógłby tego przetrwać, tak,

ale to znów prawdopodobieństwo, jak już mówiłem, jeszcze niewiele wiemy, wszystko jest w sferze przypuszczeń, no więc etyka...."

Gadał, im więcej gadał, rym bardziej chciałam wracać do izolatki, tym szybciej szłam przez korytarze zastawione szpitalnymi akcesoriami w ciasnotę, szłam, a on laził za mną i gadał dalej, chcąc może już wszystkiego się pozbyć, całą wiedzę i bezradność swoją wobec niej zrzucić na mnie, masz, babo, co chciałaś, teraz wiesz wszystko i leć do swojego chłopca, póki jeszcze masz do kogo, dreptał za mną i gadał:

„Nie znamy jeszcze genezy, ale istnieje prawdopodobieństwo, och. znowu to słowo, że to jakaś hipersomatyzacja nerwicy lękowej, bo oni wszyscy mieli przedtem podobne objawy; zaniżona samoocena, depresje, liipochondria, wreszcie kryzys w małżeństwie czy związku, i to malenie jest jakby reakcją, wie pani - metaforyka neurozy, wszystko zawsze skupia się na głowie, ale proszę tak nie pędzić, czy pani mnie słyszy?..."

„Jestem przy tobie", powiedziałam, kiedy się obudził. Nachyliłam się, żeby mógł mi coś pisnąć do ucha. Poczułam na policzku pocałunek chrząszcza. Poprawiłam mu poduszkę. Bał się. Patrzył. Dwa świderki wwiercały się we mnie, szukały odpowiedzi. Na wszystkie pytania jednocześnie. Musiałam znaleźć słowa zdolne załatać wszystkie dziury, przez które uciekało nam światło.

„Przyniosłam ci gazetki"

Ikra boża

Mama miała imieniny, musiałem przyjechać, chociaż u nas nie ma imiennowych tradycji, zawsze tylko tak skromnie, ale miło. żeby zaznaczyć, że się pamięta, bez żadnych szczególnych uroczystości, co innego w dzień

urodzin; tak czy inaczej, musiałem przyjechać, sprawić przyjemność- Chyba wyrosłem już z tego wiecznego zapachu do wizyt w domu rodzinnym, raczej to we mnie przeszło w permanentny stan przedzapalowy; bo w pewnym wieku się pojmuje, że tęskni się nie do domu, nie do matki, ale do dzieciństwa, do siebie samego się tęskni z czasu minionego bezpowrotnie. Nie jadłem obiadu, bo nie zdążyłbym na pociąg; w pociągu dopadło mnie coś w rodzaju głodowej melancholii, zrobiłem się nerwowy, i taki ucisk w przelyku się pojawił. Literki mi się rozbiegały gdzieś w stronę skroni, czytałem nagłówki bezmyślnie i tą bezmyślnością dodatkowo rozsierdzony postanowiłem, że nie będę więcej kupował gazet, chyba że raz w tygodniu tę z programem radiowym; im bardziej byłem głodny, tym bardziej nienawidziłem gazet, uznałem, że jak już odzwyczajam się od nałogów, to także od tych pozornie nieszkodliwych, bo cóż to ma być za logika, kupowanie gazety codziennie, nie co dzień wydarza się coś istotnego, a jeśli nawet się wydarzy, to potem piszą o tym przez co najmniej tydzień, zawsze się zdąży natknąć na komentarze, o tak, raz w tygodniu gazeta wystarczy, a ile się od razu zyska czasu na ważniejsze lektury. Im bliżej K,...ic, tym bardziej byłem głodny; im bardziej byłem głodny, tym mocniej nienawidziłem, pomyślałem, że to na pewno nerwica żołądka albo nawet jakaś nieopisana dotąd psychoza głodowa, pomyślałem: dobrze byłoby przejrzeć jakiś katalog chorób, żeby sprawdzić. Zanim dojechaliśmy do K...ic, pociąg zatrzymywał się między stacjami, żeby przepuszczać opóźnione pospieszne, umierałem z głodu, a on sobie stanął pięćset metrów od dworca i czekał już niewiadomo na co, ludzie przed drzwiami ubrani, zniecierpliwieni, zacząłem z głodu obgryzać paznokcie, wreszcie nie wytrzymałem, zwolniłem tę cholerną syczącą blokadę i wyskoczyłem, za mną od razu popłynął strumyczek pasażerów: „Dobrze, że pan otworzył, bo przecież to jest nie-

możliwe, co oni z nami wyrabiają". Oczywiście pociąg natychmiast po naszym wyjściu ruszył, szliśmy między torami, co okazało się dość ryzykowne, bo co chwila skądś jakieś lokomotywy nadjeżdżały. Na dworcu kupiłem hamburgera i wstydliwie jadłem w drodze do tramwaju; hamburger był wyjątkowo obrzydliwy, bo nie ośmieliłem się poprosić pani, żeby go nie szprycowała keczupem i musztardą, w stanie głodowej melancholii robię się chorobliwie nieśmiały; ochlapałem sobie płaszcz, jechałem więc na imieniny matki i zastanawiałem się, jak jej nie zepsuć tego dnia, żołądek skurczył mi się tak, że tym jednym hamburgerem wypchałem go po brzegi, wiedziałem, że choćby się spóźnił tramwaj, nie zdążę znów zgłodnieć na tyle, by zjeść maminy obiad, więc będzie jej przykro, a jeszcze jak ten płaszcz zobaczy, na pewno powie: „Boże, a ja myślałam, że ty już wydośroślałeś”, i będzie mi go wycierać szmatką.

Kiedy już wytarła, kiedy już włożyła kwiaty do wazonu i zaprosiła do stołu, zapytałem ją: „Mamo, może pójdziemy gdzieś, w końcu masz imieniny?”, „Tylko że ja właśnie się umówiłam z Elą”,

„No i gdzie z tą Elą pójdziesz? Przecież możemy we troje się wybrać, na przykład do parku”. Stawiając przede mną zupę {zupę jeszcze chyba mogłem, tymczasem pozwoliłem jej stygnąć), powiedziała: „No dobrze, to weź sprawdź w gazecie, czy coś tam jest, może jakaś wystawa¹¹. Teraz, syty, już nawet bez większej niechęci sięgnąłem po gazetę, i bardzo dobrze się złożyło, bo była jeszcze w Kapeluszu wystawa wariatów, już ostatni dzień, więc należało się liczyć z tłokiem, ale tego mamie nie powiedziałem, żeby nie zniechęcić, bardzo mi zależało na sprawdzeniu tych psychoz głodowych (od razu przeczulem, że musi być ich co najmniej kilka rodzajów); akurat przyszła pani Ela i zaczęły się z mamą obcmokiwać, więc ogłosiłem: „Drogie panie, zabieram was na wystawę wariatów, a zaraz potem na

lody do Łani, jest piękna pogoda, nie przyjmuję odmowy". Mama od razu zaczęła protestować: „Dziecko, no gdzie ty mnie chcesz zabrać, ja mam dość jednego starego wariata w domu, on mi jeszcze zdąży dać w kość, jak wróci wieczorem z pracy". Ale pani Ela jak zwykle była po mojej stronie, choć niezbyt dokładnie dosłyszała, o co chodzi: „Bardzo dobry pomysł, idziemy; na wystawie kwiatów ostatnio byłam pięćdziesiąt lat temu i poznałam tam mojego pierwszego męża; ubieraj się, na starość będziesz w domu imieniny spędzać". Mama wytłumaczyła, że nie chodzi o kwiaty, co panią Elę ucieszyło jeszcze bardziej. „Wariaci? To koniecznie musimy iść, może tam będzie mój drugi mąż wystawiony, trzydzieści lat go nie widziałam", ja więc od razu, żeby wykorzystać sytuację: „Mamusiu, to ja drugie danie zjem po powrocie, a teraz chodźmy, szkoda słońca". No i poszliśmy.

Tłok rzeczywiście był, bo to jednak duża atrakcja w takim mieście, przed Kapeluszem pełno straganów z łakociami, mama, jak tylko je zobaczyła, kazała mi się ustawić w kolejce po prażone orzeszki nerkowca, sama stanęła po krówki, pani Ela zapytała, czy aby na wystawę wpuszczają ze słodyczami, czy nie stracimy apetytu, mama odparła, że w razie czego, to się do torebek schowa, ja już prawie kupowałem orzeszki i nagle znowu poczułem ssanie w żołądku, źle to widać obliczyłem z tym hamburgerem i zupą, zgłodniałem ponownie, i to dość ostro, tak z burczeniem, kupiłem więc dwie porcje nerkowców, dla mamy i dla siebie, żeby się zapchać, choć wiedziałem, że nerkowce są w lukrze i prędzej mnie zemdlą, niż nasycą, wokół było pełno straganów ze smażonymi kiełbasami, no ale sprawiłbym przykrość mamie, przecież obiad czekał w domu; przenieśliśmy się w końcu do kolejki na wystawę, zając orzeszki, poczułem, że mi niedobrze, w dodatku burczenie było słychać wyraźnie, gadałem więc co

bądź do mamy i pani Eli, żeby zagłuszyć, o tym, że „w Krakowie to ludzie chodzą na narzędzia tortur, na wariatów muszą do nas przyjeżdżać”, albo że „teraz jest w dobrym tonie utrzymywać jakiegoś, co kosztowniejsze szaleństwo sponsorują całkiem poważni notable, tu jest podobno wystawiony wariat opłacany przez naszego burmistrza”, tak zagłuszałem burczenie, a[le i ośmielałem matkę, bo widać było, że dość się niepewnie czuje, za to pani Ela już łypała przez drzwi wejściowe, bilety były skandalicznie drogie, ale wytłumaczyłem sobie, że przecież jakoś muszą na siebie ci biedacy zarobić, lepiej więc, że bilety drogie, bo pewnie nie okradają ich organizatorzy ze wszystkiego, coś tam zostaje na leki i szpital, mamie przy wejściu już się zrobiło całkiem nieprzyjemnie, „Oj, chyba nie chcę tego oglądać, idźcie sami, ja na was poczekam”, ale już nas kolejka z tyłu wpychała, nie można było się wycofać bez zamieszania, a wstydlivość to miałem po matce, dała się więc wepchać do środka; we wnętrzu Kapelusza było duszno i dość ciemno, bo hala była oświetlona naturalnie przez oszklony dach, a na zewnątrz właśnie się zachmurzyło, tylko zza szyb wystawowych, z cel, w których umieszczono wariatów, dobywało się przytłumione światło neonowych lamp.

Przy każdym eksponacie wisiała tabliczka z nazwą choroby i wyraźnie wypisanym fosforyzującymi literami logo sponsora. Można też było skorzystać ze słuchawek, jeden zestaw był przeznaczony do odbierania dźwięków zza szyby, w drugim lektor odczytywał dokładny opis danego przypadku. Czekając, aż się zwolnią słuchawki, zajrzeliśmy do pierwszego z pomieszczeń. Tabliczka informowała, że to jest właśnie chory sponsorowany przez władze miasta; bardzo kosztowny przypadek *repetozy depresyjnej*. Nic szczególnego się tam nie działo, na widok publiczności wystawiono pokój, w którym trwały najwyraźniej przygotowania do jakiegoś

przyjęcia, krzątano się przy stole, wnoszono zastawę, w kącie stała choinka, a pod nią złożono paczki z prezentami, domyśliłem się, że chodzi o Wigilię, co wydało mi się dość kontrowersyjne w październiku, nawet na wystawie wariatów, w fotelu siedział mężczyzna i obserwował przygotowania z wyraźnym zadowoleniem; popatrzyliśmy po sobie z mamą, pani Ela już się dorwała do słuchawek i przekazywała nam, co słyszy: „On mówi do nich, że nie będzie jadł karpia, bo się boi ości” (zaburczało mi, aż się mama skrzywiła), „Mówi im, że jest bardzo szczęśliwy, tylko chciałby, żeby już przyjechała Kasia”; właśnie się zwolniły drugie słuchawki, te od historii choroby, nasi poprzednicy byli wyraźnie wstrząśnięci tym, co usłyszeli; chciałem się z mamą podzielić słuchawkami, ale powiedziała, że po tylu ludziach się brzydzi, że mam jej przekazywać, co słyszę. Wariatem okazał się ten właśnie mężczyzna z fotela; w wypadku samochodowym zginęła jego żona, w drodze na kolację wigilijną, ale dowiedział się o tym dopiero w Boże Narodzenie rano (pani Ela z drugą parą słuchawek na uszach mówiła tak głośno, że ją słyszałem mimo swoich: „Mówi, że to jest najszczęśliwszy dzień w jego życiu i tylko Kasi mu jeszcze brakuje”}; szwagier, który przeżył wypadek, nie chciał rodzinie psuć wieczery, więc zadzwonił, mówiąc, że zepsuło im się auto i nie dojadą w taką wichurę, spędzą Wigilię razem w hotelu, tam pracuje koleżanka Kasi i nie będzie im jakoś strasznie przykro, taką właśnie wersję podał ten szwagier, żeby się nie martwili, ale nazajutrz już mu zabrakło pomysłów; kiedy ten mężczyzna się dowiedział o śmierci żony, natychmiast wyskoczył z okna, ale spadł w kopny śnieg i nic mu się nie stało, tylko był w szoku, zapomniał o wszystkim i myślał, że jest znów Wigilia, zabrali go do psychiatry, lekarz orzekł, że nie ma nadziei, że jak tylko się ocknie, znowu będzie sobie chciał odebrać życie, zresztą chodzi o to, że on wcale nie zapomniał, tylko

to jest taka jego rozpaczliwa próba zatrzymania czasu tuż przed katastrofą, w tej właśnie chwili, kiedy byli wszyscy razem i tylko ten dreszczyk wigilijny wzmagał się z godziny na godzinę, że on w ten sposób chce im dać do zrozumienia, żeby mu pomogli ten czas zatrzymać, więc jeśli chcą mu uratować życie, muszą codziennie odtwarzać ten dzień wigilijny, każdego dnia przeżywać go od nowa, tak żeby uwierzył, że udało się zatrzymać na zawsze tamtą chwilę i oszukać śmierć, jeśli go naprawdę kochają, muszą się poświęcić; stąd takie wysokie koszty, muszą brać udział we wszystkich wystawach, żeby na sobie zarobić, tamtego dnia Wigilia wypadła w niedzielę, więc nie pracowali, i teraz też nie mogą pracować inaczej niż przy tym spektaklu odtwarzanym codziennie, bo inaczej pacjent się zorientuje, że to tylko gra, wszystko musi być dokładnie tak jak wtedy...

Miałem dość, skręcało mnie z głodu, w dodatku mama się popłakała i chciała do domu; pani Ela zdjęła słuchawki zdeglustowana, „Ee, tam się nic nie dzieje, co to za wariat ma być,, a czemuż ty płaczesz, coście tam usłyszeli?!” „Mnie już wystarczy, to jest wszystko okropne, ci ludzie tutaj, chodźmy już lepiej na te lody, chyba mam prawo we własne imieniny o czymś decydować?”, łkała mama, więc zacząłem jej tłumaczyć; „Gdyby tak wszyscy marudzili, spadłaby oglądalność i wystawa musiałaby zostać zamknięta, a ci wszyscy biedni chorzy wylądowaliby na bruku, bo przecież nie są ubezpieczeni, no a kasy chorych...” „Zapłaciłeś za bilet, już im pomogłam, nie muszę tego oglądać!” Przyznałem jej rację, poszliśmy więc do kawiarenki, zamówiłem kawę i powiedziałem, że się trochę porozglądam, skoro już tu jesteśmy, a mama niech sobie odpocznie. Było jej przykro; pani Ela nie chciała słyszeć o wcześniejszym wychodzeniu i poszła zwiedzać dalej, ja postanowiłem odnaleźć tylko pasaż psychoz głodowych, żeby sprawdzić, czy któraś się u mnie nie zaczyna.

Znów zrobiłem się drażliwy, ssanie stawało się coraz uciążliwsze, czułem, jak ścianki w moim żołądku przyklejają się do siebie i zaczynają wzajemnie pożerać z braku innych propozycji, nerkowce się skończyły, byłem już gotów wymknąć się po kryjomu na kielbasę, kiedy zobaczyłem celę, w której pacjent spożywał obiad.

Spirytogastria prosta, przeczytałem na tabliczce i sięgnąłem po słuchawki z historią choroby. Pierwsze symptomy patologii możemy rozpoznać po resztkach, jakie chory zostawia po posiłku. Charakterystyczne, że nigdy nie dojada żadnej z potraw do końca: z każdej pozostawia drobny, acz starannie odkrojony kawałek, w przypadku płynów jest to oczywiście niedopity do końca kompot lub też niedojedzona zupa. Zapytany o ten zwyczaj, będzie unikał odpowiedzi lub też stwierdzi wymijająco, że więcej nie może, zjadł, ile mógł, czy coś w tym rodzaju. W rzeczywistości jednak pacjent jest przeświadczony, że niedojedzone resztki są ofiarą dla duchów ludzi zmarłych na raka układu pokarmowego, w razie gdyby ich nie zostawiał, grozi mu natychmiastowa śmiertelna choroba. Pochodzenie *spiryto-gastrii prostej* jest dziś dobrze rozpoznane, psychoza dotyka zwykle ludzi dręczonych w dzieciństwie przez rodziców przymuszających ich do jedzenia: chory, którego właśnie obserwujemy, dopiero pod hipnozą wyjawiał, jak to ojciec zamyka! go w pokoiku przed misą zimnego bigosu i wołał przez drzwi; „Nie wyjdiesz stąd, póki nie wylizesz talerza!!...” Zmieniłem słuchawki, żeby posłuchać wariata, bo właśnie skończył obiad i mówił coś do pielęgniarki sprzątajacej talerze z resztkami. Brzmiało to dość makabrycznie, bo akurat wymawiał, a właściwie deklamował diabolicznym szeptem łacińską nazwę jakiegoś nowotworu: „*Car-ci-no-ma in-tes-ti-m cras-si..*”

Okazało się, że drzwi, którymi wyszła pielęgniarka, łączą celę z sąsiednią, w której wystawiono bardzo chudą kobietę cierpiącą na *spiryto-gastrię paraimidalną*. Otóż pacjentka była przekonana, iż sama jest duchem zmarłej na raka żołądka, i żywiła się tylko resztkami pozostawianymi przez swego sąsiada. Siostra właśnie podała jej nie skonsumowaną na przez tego pacjenta część obiadu. Rodzice brali na ręce dzieci i tłumaczyli im, jakim to sprytnym sposobem pożywienie się nie marnuje. Dzieci w ogóle bawiły się na wystawie świetnie, znacznie szybciej nudzący się dorośli musieli je zabierać siłą sprzed eksponatów. Podśluchałem, jak bodaj dziesięcioletnia dziewczynka wyznaje swojemu ojcu: "Tata, to jest super, lepsze niż *Wielki Brat!*"

Byłem już zbyt głodny, żeby wytrzymać nawet zwiedzanie działu psychoz głodowych, postanowiłem więc chyłkiem wyjść na krupnioka i wrócić po matkę i panią Elę, która tymczasem zaginęła na dobre w tłumie zwiedzających. Po drodze zatrzymałem się jednak przy celi, której, choć nie była pusta, nikt nie chciał oglądać. Na wystawie był to absolutny ewenement, w ogóle zauważyłem, że najmniej wyszukane przypadki cieszą się największym wzięciem: przed salkami paranoików panował potworny ścisk, być może dlatego, że organizatorzy dla uatrakcyjnienia imprezy lokowali po kilku Jezusów czy Napoleonów w jednej celi. oczywiście pielęgniarze czuwali nad tym, żeby rywalizacja między nimi nie przybrała zbyt agresywnych form. Owóż, wiedziony ciekawością, przeczuwając, że gawiedź musiała zignorować jakiś wyjątkowo wysublimowany przypadek, zajrzałem do celi.

Wewnątrz przy stoliku siedział miody mężczyzna i pisał coś na maszynie. Co jakiś czas sięgał po filiżankę herbaty, popijał i pisał dalej. Potem wstał, podszedł do umywalki, wypłukał pustą filiżankę i odstawił ją na miejsce.

Przeciągnął się, ziewnął, popatrzył na zegarek, po czym wrócił do pisania. Nie dopatrzyłem się w jego zachowaniu niczego nienaturalnego. Zauważyłem też, że tego wariata nikt nie dofinansowywał- Założyłem słuchawki. „Niezwykle trudny do zdiagnozowania przypadek, często mylony z symulacją choroby. Pacjent zwykle zgłasza się do poradni dobrowolnie, prosząc, by go natychmiast izolowano. Twierdzi, że nie może dłużej patrzeć na ludzi i jeśli nie zostanie bezzwłocznie odizolowany, zacznie zabijać. Niestety, kilka zlekceważonych przypadków zakończyło się tragicznie, pacjenci odesłani z poradni dokonywali zbrodni, po czym wpadali w stan całkowitej katatonii. W porę hospitalizowani nie zdradzają żadnych objawów urojeniowych, często poświęcając się z powodzeniem działalności artystycznej. Obecny tu chory jest poetą, oto jeden z jego utworów:

Kiedy wszechświat się wyklął.

Bóg zaczął go nosić na rękach.

tylko że Ziemia mu po drodze spadła.

Nie może się po nią schylić,

bo nie ma gdzie odłożyć wszechświata.

Może tylko stać i patrzeć, co się z nami dzieje.

Stoi i patrzy"

Poczułem, że ktoś mnie ciągnie za łokieć, To była pani Ela. „Chodźmy do tej twojej mamy. nie może tak sama siedzieć". Zapytałem, czy znalazła gdzieś męża, „Wiesz ty co. ja nie mam pojęcia, jak on dzisiaj może wyglądać, ostatnie zdjęcie mi przysłał z Niemiec trzydzieści lat temu, zdjęcie ze swoją nową rodziną, wyobrażasz sobie, tyfus jeden, odważył się na coś takiego; ja mu życzyłam, oj, życzyłam, żeby mu rozum odebrało, kto wie, czy te moje modły się nie spełniły, myślę sobie, że tu było kilku takich, którzy by pasowali..." Mama wypatrzyła nas z daleka i machała gniewnie.

Dotarliśmy do niej; była już zupełnie rozeźlona: „Dziękuję za takie imię-ny, oboje jesteście tacy sami.” więc próbowaliśmy ją udobruchać oboje, pani Ela przypomniała o obiecanych lodach i skierowaliśmy się do Łani. Mnie już z głodu zaczęło popiskiwać w czaszce, przy kielbaskach nie wytrzymałem, puściłem się do kolejki, oznajmiwszy: „Bardzo przepraszam, ale mam nerwicę żołądka i muszę w tej chwili zjeść coś konkretnego. Zraz was dogonię”.

Mama i pani Ela poszły sobie pod rękę, wyjadając orzeszki. Dzieciaki, udając wariatów, biegały wokół, ich ojcowie dopijali piwo i wycierali wąsy z musztardy. Opodal trenowali skoki chłopcy na deskorolkach. Wszystko spajała melodia nowego przeboju, płynąca z rozwieszonych tu i ówdzie głośników. Odrzutowiec z hukiem przekraczał barierę dźwięku, patrzyłem, jak rozpruwa niebo.

Stoi i patrzy.

Pomyślałem o tych wielkich smutnych oczach, w których musimy się tak ładnie odbijać.

Chłopowiadanie

- Skąd mos te jalówecke, Stasiiek?

Chłopoki docinali, bo wszystkim już wiadomo było, że się z dziewczęciem tu i ówdzie pokazałeś, nawet może i za rączkę czasami. Na przykład po mszy. zamiast z kamratami do „Marzenia”, to z nią w dół do potoku i w górę na Przeddomiański i w dół do potoku i w górę na Niski i w dół do potoku i wtedy dopiero jej zorientowanie się.

- Oj, Stasiek. patrzój, kany my došli od tego godanio...

- No rzeczywiście, Bronusiu moja, trza nom było nie godać, ba co innego...

- Idźze, idźze, ziajoku, telo co po mszy, a jus o sprośnościach myślis?

I takie mniej więcej przekomarzania. Ale skoroście już pod Wysoki doszli, bliżej było do Brzegów jej rodzinnych niżli do Bukowiny powrócić, przeto potoczek najgłębszy i najbardziej wartki, nie do przejścia suchą stopką w kierpcach niedzielnych, przebyć jej pomóc musiałeś, zawsze tym samym sposobem odświętnie wyczekiwany: wziąć ten ciężar pachnący wykrochmalony świeżutki na ręce i w bród strumień przekraczać, jak najwolniej, żeby nie uronić ani chwili tej bliskości, tego jej zarzucenia ramion na twą szyję, tego jej oddychania w twoje lico i zapatrzenia oczu szmaragdowych jak staw podziemny w czeluściach Organów, i zapachnienia włosów, warkocza tego, do którego pogwizdywania i wszelakie „E, krucy,,” przy każdej chałupie, gdzie żeście tylko przechodzili razem. Przenosiłeś ten skarb na rękach, stąpając ostrożnie z kamienia na kamień; woda ze źródeł hej lodowych do kolan się wdzierała przez spodnie i skarpety aż po cierpkość zmrożenie aż po utratę czucia, wtedy dopiero na drugi brzeg, na ziemię, i - och, premia: całus. Nawet nie w policzek; ślina lśniąca na jej wargach przekazana twoim, wysychająca powoli, wilgotny ślad. który zanikał stopniowo; ogień, ogień. Jezuniu, Stasiek, to dopiero było.

- Nie pod chałupę, Stasięńku, jesce nie pora - mówiła już u samych Brzegów, tam cię zegnała, z każdą niedzielą mocniej pozwalając się przycisnąć, wyraźniej więc czuleś te dwie miękkości przedziwne wytęsknione na swoich żebrach, I widziałeś jej oczy tak z całkiem bliska, jakby rozbrojone zupełnie; rozpląsane oczęta, zbyt bliskie już twoich, żeby mogły patrzeć spokojnie, tak bliskie, że musiały się zdecydować na jedno twoje oko, ale wybrać nie mogły, skrzywdzić drugiego nie chciały, latały więc

wlewowprawo od oka do oka, z miłości (już wiedziałeś przeczuwałeś; bo miłość ta najpierwsza nie pozwala opowiedzieć się po stronie piersi lewej przeciw prawej, po stronie podbródka przeciw uszku, po stronie pośladka przeciw udu; bo miłość ta najpierwsza działa całościowo). Jedno więc w tobie siedziało, choćby przeciw światu całemu, ważniejsze niż, a niech tam, Stasiek, ważniejsze niż sam Bóg: to Brońda, Bronecka twojo uko-chano, E dopiero wtedy, po odprowadzeniu: przez las, na skrót do Klina, na pierwsze piwo; i w dół, biegiem do "Janosika", gdzie już znajomi, i drugie, i trzecie.

- Cóżeś ty, Stasiek, dzisiok taki furtok?

-Taki fto?

- Furtok; tak furtos tu i tamok, coz cie to raduje, roboty ni ma, turystów ni ma, dutków ni ma...

Nawet ci się z nimi gadać nie chciało, tłumaczyć; więc hejże dalej w dół, do " Marzenia", lam piwo czwarte, po którym już w skroniach krew bu-chała wystarczająco, żeby podejść do Surówki.

-Jakoś to krucyfiksie dzisiok za mnom wołół, ze z kim idem?

-Z jałóweckom, he, he, Stasiek, a co, podoiłeś se, toś do karcmy przisel?

- E, sakra, bier się do bitki!

1 w mordę go; z krzesła spadł i syknął; „E, kurwesynu, zarobis w kufef”; wstał, to do poprawki; kuflem rzucił, ale chybił, potłukło się; ci od Surów-ki chcieli mu pomóc i już cię od tyłu w kleszcze, ale nie było we wsi nad bufetową z „Marzenia” i nad jej szmatę mokrą; wszyscyście wylecieli na zbite pyski przed lokal- A tam.., ej, Stasiek, trzem nie dałeś rady, ale Su-rówka połknął trzonowca, „znojdzies go w gównie”, powiedziałeś, a po-tem jeszcze, że to „za jałowecke”, jakby kto miał wątpliwości.

Ogień, Stasiénku, ogień.

Wszystko nagle się stało takie oczywiste, logiczne; to, co piękne, i to, co szpetne, zrównało się w radosnej konieczności istnienia: grań Bielskich, nowy kościół, muchy na lepie w kuchni, ojciec kurwujący przy kartach, smród z chlewa. Na czym byś zatrzymał oko, co byś zwachał, co usłyszał - było dobre i prawdziwe, bo należało do świata, który zrodził Bronkę, bo było takim jak i ona tego świata fragmentem, a skoro ona była cudem, to wszystko cudem było, to świat cały jeden sam w sobie był cudowny.

Oj, Stasiek, tak było. Kiedy zobaczyłeś drzewo, to zaraz ci się przypomniał tamten smreczek, pod którym się zatrzymała, żeby

- Nie patrzój, obróć się!

(ale na szczęście nie kazała ci zatkać uszu. więc ten szumek mogłeś usłyszeć i wyobrazić sobie strumyczek - i jaki on - i skąd on...).

Oj, Stasiek, tak było. Kiedy zobaczyłeś księdza, to zaraz ci się pomyślało, że może już niedługo to on właśnie będzie wam sakramentu udzielał.

Tak było. Kiedy poczułeś, że halny zaczyna szarpać, pomyślałeś, że to z południa, że to od niej, że kiedy wieje nad Brzegami, jest jeszcze zimny jak kość i dopiero ona go ogrzewa, dla ciebie.

-Wiej, wietrze, wiej, bo tam dziewczce moo-jee!! - już z samotną, niepodzielną butelką wieczorami po Spiskim wolałeś zataczałeś się. Duło; nawet psom się nie chciało szczekać pod wiatr. Oj, duło, łamało gałęzie, z hukiem domykało okiennice nieuważnym, a ty śpiewałeś, bo to był halny od niej. wietrzny list miłosny dla ciebie, na tobie się zatrzymujący – dałbyś głowę, zew Białce już nie wiało.

I tak razem od niedzieli do niedzieli, potem coraz częściej, bo wyszukiwanie okazji, pomysłów

(- A może by tak, Bronusieńko.,.

- Niech ta będzie. Stasiek, ino muszę do chałupy przed cwortom},

bo targ w Nowym w czwartek, bo odpust w Graniu, bo Niebieska Dolina. Ech, Stasiu, to musisz pamiętać.

Były zawody w dolinie, jak co roku; na polanie watra wyższa niż las. Byli chłopcy, górale i ceprzy, była okowitka, była wreszcie i twoja Bronka, i ty, Stasiu; kiedy już każdy wstępnie wypił, ogień zmałał, tak że można było przezeń skakać. Chłopaki próbowali, kto wyżej, kto zgrabniej, hyc, jak u Skoczylasa, bo to i oklaski od ceperii i ktoś tam polał za swoje i można było wśród tych rumieńców wybierać najczerwieńszy i nieco głębiej w las udawać się w liczbie parzystej i szeptać do mchu, z mchem i na mchu, uhm... Skakali wysoko wysoko, nawet ceperia próbowała, a ty stałaś czekałaś przyglądałaś się, z Bronką za rękę, póki jej rozkaz nie nastąpił wyszeptany z nieśmiałością, z niepewnością, pytająco

- Stasiu, a ty nie skocysz?

Póki jej rozkaz nie nastąpił, póty nie było powodu, nie było konieczności ani sensu odrywać się od stania przypatrywania z dłonią w dłoni, z twarzą rozgrzaną ogniem, z oczyma świecącymi od iskier, ale kiedy wyszeptala zapytała, ruszyłeś; z ognia w ogień. I z ogniem swoim silniejszym niż te niewinne płomienie smagające nogi skaczących ruszyłeś nie po to, żeby skoczyć; ruszyłeś poza konkurencją - i przeszedłeś, przekroczyłeś przez ognisko ku zmilczeniu i zdumieniu i piskom przestraszenia; przeniosłeś ogień swój przez ten ogień zimny, jak swoją miłość przez potok, wolno, smakując każde stąpienie. Wszystko ucichło, wszystko czekało; a kiedy już przeszedłeś bez poparzeń, bez szwanku, nawet w spodniach nienaruszonych, zanim to dotarło do wszystkich wokół i odmilczało i zaszemrało i zaczęło wiwatować na cześć zwycięzcy, zanim to wszystko-wybrałaś najczerwieńszy wśród rumieńców świata i udałaś się do mchu, miłość sobie

wyjaśniać, w miłości wyjaśnić, z Bro-neczka, Broneczka, ech, Stasiak. pierwszy raz, na wieki wieków.

Nie lubisz, Stasięku, o ślubie: jakoś tak bezwieselnie, pospiesznie, ubogo. Co tam do zapamiętania, błogosławieństwo? Z matką nic szczególnego, w zapłakaniu, w przytuleniu takim żalonym pożegnalnym, ale ojciec... Z ojcem mogło być rozmaicie, bo na tenże poranek uparł się być trzeźwy, po raz pierwszy od niepamięci i ostatni w życiu, jak się później okazało, Stasięku.

-Trza mu było dać wypić- mówiła matce, kiedyście się do kuchni zbliżali.

- E, dy som nie fciół - powtarzała matka, otwierając wam drzwi, za którymi on utkwiał jakoś tak w jasności, bo okna od wschodu i firanki białe cieniście przykrótkie: jasnością więc malowany przy obrusie świątecznym siedział i blatu się trzymał kurczowo.

Umyty, ogolony, zaczesany do tyłu. wszystko matkoręcznie; w białą koszulę jej rękami wy-krochmaloną wyprasowaną ubrany i w całym stroju w ogóle kierpcach portkach parzenicach kapeluszu siedział i trzymał się blatu; zasuszony już dość, pomarszczony. A na stole szklaneczka ze święconą drżąca chybotliwa. Bo ojciec od grawitacji się odzwyczyił i w roztelepaniu trwał po to, żeby „synową po trzeźwemu zapamiętać”; w wyzwaniu tygodniowej abstynencji, które już dawno przekroczyło granice jego powszedniej cierpliwości; tygodniowej abstynencji - bo żeby na dzień ślubu waszego wywietrzeć po wieloletnim ciągu, tydzień musiał nie pić; kazał się matce zamknąć pod kluczem i nie otwierać nie litować się, choćby po ścianach chodził. Piątego dnia już opadł z sił i mogła do niego wejść, zacząć przygotowywać do tej incydentalnej świeżości. Teraz u samego spełnienia tego dramatycznego aktu woli zaciskał dłonie na krawędzi stołu, żeby nie odpaść nie polecieć nie potoczyć się ku złemu nie w porę. Przyklekliście

przed nim, więc zaczął wstawać chwiejnie, wciąż trzymając się stołu, potem jedną ręką się puścił i sięgnął po święconą i już trzęsąc się na dobre, puścił się drugą i w roztelepaniu do was odwrócił wylewając wylewając ze szklaneczki, więc pojął, że jeśli jej natychmiast nie odłoży, wszystko wyleje się wyleje, więc odłożył i tylko palce zamoczył, z trudem trafiając dłonią do szklanki, i w rozdygotaniu stałym i wzrastającym wzmagającym się dotknął twojego czoła, drżącymi palcami postukując, wykonał linią przerywaną deliryczną znak krzyża, a potem jeszcze raz. Boże. tego już nie musiał robić, jeszcze raz nadludzkim wysiłkiem powtórzył drogę ręką do szklanki, zanurzył palce. że niby po tamtym razie już wyschły, i wyjmując, szklankę przewracając, wodę wylewając, przeniósł dłoń nad czoło Bronki i gest odtworzył. I spojrzał jej w oczy ten jeden jedyny raz, i w tym spojrzeniu ujrzałeś akceptację, a nawet, kto wie, może i podziw dla tych włosów tych warg tej szyi, i właśnie wtedy szklaneczka stoczyła się sturlała i brzdęk na kawałki, na szczęście; zostaliście pobłogosławieni.

Nie mieliście nic, bo i nie było po kim ani też od kogo dostać cokolwiek. A pewnie, pewnie, mieliście siebie.

- E, Stasiu, z miłości nie wyzyjes, bier się za jaką robotę, kie jesce cas, kie dziecka ni ma.

Tak wszyscy gadali: rodzice, chłopaki, ksiądz. Odganiałeś ich jak muchy końskie, ale kąsali, w kąśliwości swojej zajadli tym bardziej, im częściej was widzieli kochających myślą mową uczynkiem i zadbanie, im bardziej ich to uwierało jak kamień w kamaszu, żeście z Bronką w uśmiechach, w poszanowaniu żywotności wszelkiej, w rozpromienieniu. Kiedy tylko mówiłeś dzielłeś się, bo już ci tchu brakowało, „Słuchajcie, nie wiem, jak to rzec, to.-, cudowność”, oni zaraz: „Ale jeść co trza, ubrać co

trza; za co, cy ty w ogóle myślis, za co?", więc odganiałeś, „Stasiek, krucy, zendź na ziem", odganiałeś. „Kiełoś to zarobi!, ze ci tak radośnie?", odganiałeś odganiałeś. Jak oni z kosami w żyto, tak wy z kosami akompaniatorami w sobie gniazdowaliście. Jak oni owies przewracali, tak wam przewracało się w głowach od przewracania na trawie, na podłodze, na materacu, z boku na bok. Jak oni siano składali, tak wy głód swój składaliście na karb pocałunków. Jadło się cos tam, chleb z cukrem, poziomki, jagody, grzyby, w niedzielę się poszło do matki na obiad; piło się, co się wydoiło; nie myślało się, się kochało.

Chałupkę postawiłeś bardzo nisko, przy samym potoku. Wystarczyło rok pojeździć z ceprami: latem furą z Włosienicy do Morskiego; zimą saniami z Kir do Pisanej, Tam i z powrotem, dzień w dzień, szybciej niż inni, aż panusie piszczały, aż ich wåsaci panowie chrzakali wołali, żebyś zwolnił, ale dla ciebie to wszystko była droga do Bronki; to były kilometry, które cię od niej dzieliły; nie mogłeś przestać się spieszyć - im szybciej, tym więcej kursów, tym prędzej miałeś dzienny limit, który wystarczał, żeby z sumieniem spokojnym do Bronki wrócić. I tak już do południa zarobiłeś więcej niż inni za cały dzień; bo pędziłeś pędziłeś, konia nie oszczędzałeś; gdybyś zostawał jak wszyscy do zmroku, w pół roku byś domek postawił; ale nic nie było warte więcej niż obiad Bronki domowy, niż zapach gotowanych gruli, niż cierpkość żętycy, niż spojrzenie tej, którą się kochało w całej swojej łapczywości, która słuchała twoich mlaskań, obcierała ci wåsą mlecznego: tej. nad którą nic i nikt nigdy już nigdy.

Nisko chałupkę postawiłeś, wszędzie było wam pod górkę, za to wracało się jak na skrzydłach; same się nogi podrywały na skróty przez łąkę, skokami między krowie gówna, ostrożnie, żeby się na trawie śliskiej nie przejechać, spodni nie uświnić, ale jak się raz podeiwało na górze na Spiskim,

to już niosło do dołu samego i zatrzymać się nie chciało, nawet przed domem, z Bronką na progu czekającą, niezbyt się udawało wyhamować, więc z potokiem za pan brat, Stasięńku, ryms do wody, pstrągi płosząc, słyszało się zza pleców:

-Ziajoku, gdzież tak lecis?!

I już podbiegałeś tych kilka kroków, na jednej nodze skacząc, z drugiej but mokry zdejmując, odgrażając się z uśmiechem dobrze zapowiadającym się.

- E, dom ci wyćwike za ziajokal - wołałeś, piski powodując i ucieczkę gdzieś w głąb domostwa. Jeszcze drugi but zdejmując, żeby nie nabłocić, wbiegałeś rozglądałeś się: kuchnia nie, izba nie, bojsko nie, stodoła, e, gdzieżby do stodoły.,- strych? O tak- strych, bo drabina wciągnięta na górę!

- Broncórko, myślis, że na tej grzendzie cie nie sięgnem? - wołałeś i już ostrewki przywlekałeś z kąta i wdrapywałeś się po żerdkach pod powalę i już po belce trawersując sufit na samych rękach (ej. Stasiu, nie każdy by umiał) wymacywałeś chwyt ostateczny i wciągałeś się na stryszek, a tam już piski zdradzały jej kryjówkę. W półmroku sianem wypełnionym, w kurzu pod światło wirującym, znajdowałeś stopkę wystającą albo czerniący się splot włosów, zawsze coś zostawiała na powierzchni, żebyś zbyt długo nie musiał szukać, ale udawałeś przeciągałeś:

- Gdzież to sie mogło schować moje dziewce? - krążyłeś nawoływałeś, aż znienacka spadałeś: - Mom cie!! - w pisk w strach w podniecenie...

Ech, Stasięńku, jak by to powiedzieć lepiej: się kochało. Kochało się.

Aż się zaszło. Brzuszek, ach, gładziutki bielusieńki płąsciusieńki jeszcze, całkiem niewinnie wciąż się zachęcająco do całowania nadstawiał, i kto by uwierzył, że tam już coś się powiększać zaczęło, że tam już w głębinie ja-

kieś żyjątko niepowstrzymanym pędem ku światłu się rozrastało, że już nie byliście sami ze sobą, że Bronka w tę podwójność przedziwną wstąpiła, w którą uwierzyć nie mogłeś, no bo gdzie, bo jak, bo skąd wiadomo, Ale już głos ci się wahał między „kochom” a „ciebie”, gdzieś w pół drogi między tymi słowami tkwiło To Żywe i wyznaczało drogę,

Skucina się czerwieniła po wierchach. Świtami schodziłeś do potoczku wodą bystrą a zimną sen spłukać i widziałeś pierwsze kołderki lodu w zakolach, cienkie jeszcze i kruche. Grzyby się spłoszyły od tych przymrozków, już nic było czego zanosić do skupu; jeszcze zaglądałeś na Kiczorze jodełkom pod spódnicę, ale czas dwukilowych prawdziwków, z dumą po wsi obnoszonych, minął bezpowrotnie. Gazdowie ze Spiskiego przeczuwali wczesną zimą, w szopach oporzadzali sanie, smarowali płozy; ci, którzy mieli wyciągi, już wyklócali się, o ile podnieść ceny karnetów w tym roku, A ty z licem przy brzuchu Bronki noc w noc zasypiałeś, czekając nasłuchując; oj, Stasiu. Tego ranka, kiedy zobaczyłeś, że Bielskie osiwiwały. Bronka wyszła za tobą przed dom i powiedziała:

- Chyba się poruszyło.

Przybiegłeś, przyłożyłeś dłoń, a tam coś tak delikatniutkiego, jakby motyl zatrzepota! pod skórą, jakby połaskotała rzęsa, jakby się całowały pajaczki.

To był początek. Potem coraz częściej i coraz odważniej: ruszało się, kopało, kitłasiło w brzuchu na wszystkie strony, z każdym miesiącem coraz hardziej, coraz bliżej dłoni przez skórę coraz bardziej napiętą. Choć trudno kształt było rozpoznać w tej kotłowaninie, czasem - wiesz, Stasiu, tak bardziej wyobraźni owo dotykając niż normalnie - upolowało się stopkę nagle przeciągającą gdzieś podskórną na północny wschód od pępka i pokrzykiwało się:

- O, to była na pewno stopka, na mój dusiu, stopeckal

A jeszcze później rozkopy prawdziwe; kiedyście spali wtuleni przyłgnięci (Bronka brzuchem do twoich pleców), toś nagle budził się od kopnięć z wnętrza tego brzucha w twoje nerki wymierzonych, myślałeś sobie: „Musi, ze górol, gdzieżby dziewczce tak kopało; jesce go na świecie ni ma, a juz łojca budzić potrafi”, a potem czuleś takie martwiące poruszenia regularne, wstrząsiki niewiadomego pochodzenia, budziłeś Bronkę i pytałeś, co to, a ona, dłonią się wsłuchawszy, uspokajała cię:

- Nic to, ckowke mo, ino ckowke,

I wtedy już pewien byłeś, że to góral, skoro się wodami płodowymi umie upijać; zasypiałeś więc, myśląc o jego płaczu tam w środku, kiedy zgubi kciuk i nie ma czego ssać. Gdzieżeś, mój paluszku..,

Zima przyszła niespiesznie, wstydliwie w październiku, marudnie w listopadzie, aż skuła zasypała trzymać postanowiła od grudnia po Zielone Świątki. We dnie dziurkowałeś, Stasińku. karneciki narciarzom, wieczorami jeździłeś z kuligiem za ceperskie dutki, nocami rzeźbiłeś kołyskę. Potem malowałeś we wzorki, jak Bronce się wymyśliło, stylowo, fikuśnie, kolorowo. Im bliżej było tej pory właściwej zapowiedzianej wyczekiwanej, tym gęściej się robiło od jej zachcianek, a wszystkich się tak wstydziała po swojemu, musiałeś z niej wyciągać te życzenia, te prośby sobie się dziwujące, żeby to karmelka possała, żeby to soczek z pomarańczy wycisnąć, ale i na Jaszczurówkę by pojechała, ale i do kina do Zakopanego (bo najbliżej). Kiedy ostatnio byłeś w kinie, Stasińku: na Bruslim za bilet od konika; potem kopaliście się miesiącami z Budzami z Chowańcami, chodziliście na Brusliego co niedziela i kopaliście się z wysokoku z okrzykiem; Stasiu, przecie to było w smarka-tości głębokiej: oj, żonie nie można było odmówić, do konia, do sań, do kina hej ostrożnie, żeby nie trząść

zbytńio brzuchem brzemiennym przepelnionym. A tam w kinie jakieś romansidło; ty przysypiałeś, a Bronka chlipała, chlipała tak bardzo, że zanim się ostatecznie on z oną pogodzić zdążyli na ekranie, złapała cię nagle za rękę i powiedziała;

-Oj, boli, Stasiek, jescze tak nie bolało.

W szpitalu zaraz się potwierdziło, że to już te właśnie skurcze, i pielęgniarki do ciebie z pytaniem, czy to rodzinny poród; a ty, Stasięńku, niezbyt się orientując, odparłeś, że jak najbardziej rodzinny, bo ci się to dobrze kojarzyło, w końcu byliście rodziną, w końcu mogło chodzić tej pielęgniarce o to, czy to nie samotna matka, czy ty na przykład nie jesteś jakimś tam obcym woźnicą, który uczynek dobry wykonał. Kiedy więc powiedziales: „Rodzinny, ba jako?!", one cię zaraz do szatni, przed szafeczkę, i kitel wyjęły i chodaki i rozebrać przebrać się kazały; robięś więc to wszystko pospiesznie posłusznie. A potem poszedłeś tam w korytarz, aż do sali, w której Bronka twoja w fotelu do pasków podpięta, z kroplówką przy ręce i w boleściach. I odciągnęli cię na bok i powiedzieli (Bronka tam, Bronka) żebyś się uspokoił i posłuchał (ale tam Bronka twoja bolesna), bo nie są za dobre wyniki pomiarów tętna płodu (jakie wyniki, tam do Bronki musisz), bo słabnie tętno przy skurczach, a to jeszcze nie te parcie, co będzie przy partych [co to znaczy], i jeszcze trochę trzeba popatrzeć poczekać popróbować, a potem może i chyba raczej jednak niewykluczone, że na pewno będzie cięcie (jakie cięcie, kto kogo, co za cięcie, „Ponie doktor, u mnie w rodzinie syćka rodzili sie w chałupie, zodnych cięć nie było, syćka zdrowe, co wy mi tu godocie") ech, z panem to się tak nie da rozmawiać, to niech lepiej siostra wytłumaczy.

No i wytłumaczyła. Że Żonę za rękę jak najbardziej trzymać pomagać, mówić do niej; ale: to jest maszyna pomiarowa kategorie w skrócie się nazy-

wająca. Te cyferki z prawej im wyższe, tym skurcz silniejszy, te cyferki z lewej im niższe, tym gorzej, tym tętno słabsze, to tętno właśnie słyhać, niech pan posłucha, I nagle pojałeś, że ten łomocik spieszny, unoszący się w pokoju, którego w zapaleniu zdenerwowaniu gorączkowaniu się nie sły-
szałeś, to serce twojego górala małego z Bronki usiłującego się wydostać; i z wrażenia, że to aż takie żywe już tuż-tuż, a jeszcze tyle niepewności, z tego wrażenia byłbyś zapomniął o Bronce twojej jęczącej, aż wrzasnąć musiała na dobre, i dopiero wtedy przypadłeś do niej. i wytłumaczyłeś, że jesteś przy niej; bo ona już z bólu nawet nie bardzo poznawała ciebie. Sta-
łeś więc, Stasińku, przy tej maszynie tętno mierzącej i nasłuchiwałeś, i w cyferki wpatrywałeś się, i mówiłeś Bronce jęczącej w fotelu: „O teraz idzie tyn skurc, e, skurci-byk, uważuj, jesce, jesce, wytrzymoj, o teraz juz przechodzi, zaroz przeńdzie, juz, mos chwilecke przerwy", i tak coraz czę-
ściej, i coraz wyższe cyferki od skurczów (bo skurcze coraz silniejsze), i coraz niższe cyferki od tętna płodu (bo tętno coraz słabsze); więc wołałeś siostrę, a siostra lekarza, ale lekarz mówił jeszcze poczekajmy, jeszcze może się da urodzić normalnie; więc dalej skurcze, jęki, dyszenia, cyferki; Bronka już była poza światem, już tylko ziajała. Ale nie mogłeś zbyt długo w to słabnące z każdym skurczem tętno wsłuchiwać się i na te cyferki pa-
trzeć; twój góral maty tracił siły, coś mu tam musiało przeszkadzać; no i przerwali to w końcu, Bronkę na stół do cięcia, a ciebie do czekania przed drzwiami. No i od ściany do ściany, od krzesła do stolika, dreptałeś cze-
kałeś, czekałeś dreptałeś; od okna do drzwi, od szafki do kubia dreptałeś dreptałeś, czekałeś czekałeś. Aż tu krzyk, I choć wokół pełno krzyków, jak to na porodówce, ten był krzykiem nowym, świeżym, jeszcze ci niezna-
nym; i przynieśli ci ten krzyk na rękach, zważyli zmierzylili opatulili i po-
dali, „proszę, oto pańska córka", a więc nie górol, pomyślałeś, e, piknę to

będzie dziewczce po Bronce, pomyślałeś; i dostałeś to życie wydobyte wpatrujące się w ciebie raczej intuicyjnie, raczej w twoje ciepło niż w kształt; i wpatrywaliście się tak wzajemnie; i myślałeś, Stasięńku, że to raczej jakby kot bez sierści niż człowiek, taki mały i miauczący; i trzymałeś ją tak, bojąc się odłożyć, nie bardzo wiedząc, co zrobić, trzymałeś czekałeś, aż zreperują Bronkę. Wtedy powiedzieli o pępowninie; dziecko miało pępowninę okręconą wokół szyi, udusiłoby się przy porodzie, to się wciąż niestety zdarza, tak mówili.

I pomyślałeś o tych wszystkich matkach pozbawionych maszyn z cyferkami, chirurgów i porodówek; matkach noszących zdrowe życie aż po ostatni skurcz i rodzących śmierć, bo któraż mogła zaradzić tej metamorfozie: pępowninie stającej się pętlą szubieniczną; matkach śpiewających kołysanki martwym zawiniątkom, aż po ostatnią grudkę ziemi własnoręcznie wrzuconą do dołu. Pomyślałeś też o waszej kołysce, która byłaby teraz trumienką, gdyby się Bronce nie zachciało kina; pomyślałeś, jak bujałaby tego trupka w szaleństwie i rozpacz, żeby łatwiej przejść z macierzyństwa w żałobę.

Tym silniej więc trzymałeś, tym bardziej kurczowo, bo to życie płci żeńskiej dopiero co wydobyte starzało się na twoich rękach z minuty na minutę; już było dwa razy starsze niż pięć minut temu, a za następne dziesięć znów postarzało się dwukrotnie - i tak trzymając, przyglądając się, pomyślałeś, że właściwie szkoda, że życia nie da się tak zatrzymać na zawsze w jednej chwili, jak na fotografii; bo gdyby się dało, to chciałbyś tak właśnie tu i teraz, kiedy się tak szczęśliwie zakończył początek. Tu i teraz. Tak właśnie.

Nic więcej nie zmieści się w słowie.

Impromptu

Kurzu pełno na papierach, i po biurku można palcem pisać, ale jak to zetrzeć, kiedy żeby zetrzeć, wszystko trzeba by posortować, poskładać, uładzić, zainteresować się, szmatkę znaleźć, chyba w kuchni - a ład parzy, a w nieładzie lęgną się pomysły - więc lepiej zostawić, może trochę zdmuchnąć, bo lęgną się też żuczki, od kurzu - rozgniotłem właśnie, plamka na kartce. Zabiłem, cicho chrupnęło, wyrzut sumienia za kołnierz wpadł, zdarł naskórek. Czekam na pianino - przywiozą, to się ogarnę, odkurzę i łaps za pisadło, do nut przystąpię, notatki porobię. Stare wywieźli, bo podarowałem szkole, nowego już nie ma dwa tygodnie, choć poszło zamówienie i miało być raz-dwa. Nie gram, nie wychodzę, bo a nuż przyjdą i nie będą mogli się dostać, zostawią pod drzwiami albo pod domem, deszcz nie daj Boże zaleje taki delikatny instrument czy ktoś ukradnie, jeszcze jeden żuczek, chrupnęło.

Anula mówi, co z ciebie za kompozytor, toż u mnie też stoi fortepian (pianino, poprawiam), wszystko jedno, ma klawisze (no rzeczywiście), przyszedłbyś, zakomponował coś {a stroiciel był ostatnio przed wojną}, kompot mam dobry, od mamy mojej przywiozłam (z truskawek, mam nadzieję), wolisz siedzieć i czekać jak nieboskie stworzenie, a oni cię tam mają wiesz gdzie, nie zadzwonisz, nie ponaglisz, to zapomną, i tyle (obietuję, że przyjdę, jak tylko się wyjaśni, nie będę do nich wydzwaniał, bo tu nie o pośpiech idzie, jak rękodzieło na zamówienie, to się liczy precyzja, no a precyzja trwa, to nie tak szast-prast, tak to można kupić calisję w sklepie albo syntezator na komunię dla bratanka, Anulu, oni mi je robią, poza tym to dla twórcy dobrze tak trochę zgłodnieć, a potem rzucić się w wir, rozumiesz, szal artystyczny).

A właściwie, to możesz przynieść ten kompot. I pomogłabyś mi, wiesz, mam takie żuczki od kurzu.

No jak można w takim bałaganie, brud, smród i ubóstwo - tak mnie gani ta Anula i przegania z miejsca na miejsce, ze szmatą, z odkurzaczem, i firany trzeba zmienić, kto to widział tak żyć, artysta, wrażliwy na piękno, a takiego niechlujstwa nie widzi. Tak ślicznie wywija tą szmatą, że ażby się chciało to zagrać, no i znów mi się przypomina, że nie ma na czym, przykrość, ale zaraz sobie tłumaczę to, jak zawsze, że dobrze zgłodnieć, a Anula właśnie dopadła gniazda żuczków, i mówię jej, chyba się z tobą w końcu ożenię, a ona w rumieniec, w buraczkowate zakłopotanie, i zachęca się wdzięcznie, ach, no to skosztuj tego kompotu. Potem siedzimy, pijemy, nogi raz po raz zakładamy, i pyta mnie, widzisz, jak teraz ładnie, i odpowiadam, że widzę, że nawet powietrze jakby umyte od tego sprzątnięcia, tak pijemy sobie, pijemy.

Nie mogę, no nie mogę już doczekać się nowiutkich klawiszuniów, kosteczek słoniowych, żłobionych podpór w kształcie lwich łap, secesyjnych świeczników, rzeźbionych uchwytów po bokach do przenoszenia (to już zbytek, ale cóż poradzić, tak było na zdjęciu), wszystko będzie skopiowane co do joty. Jakże ja się napatrzę, nadotykam, nagram, niech tylko przywiozą wreszcie.

A ze zdjęciem było tak. Zasiedziało mi się kiedyś u mamy na naleśnikach orzechowych, bo to od razu jak w dzieciństwie, może byś to. a może tamto, no i gadaj, synuś, gadaj jak najwięcej, taka jestem łakoma na te twoje opowieści. Ty teraz sławny, muzykę twoją puszczają, znowu wczoraj w radio słyszałam, oj, proszę cię, zostań jeszcze, lei sobie pooglądamy fotografie. Popatrz jaki byłś wisus, na wszystkich zdjęciach miny. A tu cię

sprałam, boś specjalnie do kałuży wskoczył, żeby mnie ochlapać. A tu. Och jakie stare, to babcia z dziadkiem w poprzednim mieszkaniu. Czekał, oni tam mieli takie piękne pianino, jak byłam mała, zawsze chciałam się nauczyć, takie piękne, stare pianino, zaraz, tu gdzieś powinno być widać dokładnie, na takim zdjęciu z choinką. Jest, widzisz, jest. Piękne było. Ale byłam za mała, tylko pamiętam, jak mi tata grał, on umiał tak cudownie, i śpiewał miłosne piosenki przedwojenne, jak w filmach. Czekałam, aż urosnę, żeby od ojca się uczyć. Bo nawet siły nie miałam, żeby klapę podnieść, no ileż mogłam mieć lat. I w końcu przyszli Ruscy, zabrali. Inne rzeczy też, ale ja najbardziej płakałam, że już nie zagram na pianinie. Swolocz to była, synku, straszna, dobrze, że cię te czasy ominęły. Och. może ktoś je jeszcze ma. pewnie sprzedali, bo co mieli robić, grać to umieli tylko na tych swoich harmoszkach. Tak bym chciała kiedyś zagrać na tym naszym pianinku, weź, synuś. to zdjęcie, popytaj, ty znasz tylu ludzi, może ktoś rozpozna. Wziąłem, popytałem, ale nic poza zachwyty, proszę pana, to musiała być fortuna. Odłożyłem zdjęcie do papierów, tam gdzie kurz i żuczki. A potem mama umarła, kiedyś tam, w czwartek. Czwartek jest czerwony. Widziałem ją w czerwonej sukni, z Biblią w dłoniach, które nigdy nie dotknęły klawiszy. Ciotki płakały, wujowie wzdychali, brat tłumaczył dzieciom, że babcia i tak się nie obudzi, choćby ją łaskotały piórkami, a ja postanowiłem, że pianino będzie i że już tylko na nim będę grał, a czasem, jak zasnę, przyjdiesz, mamuś, pobrzdakać sobie po cichutku, żeby mnie nie przestraszyć albo nie złamać tych wszystkich kodeksów niebiańskich o niewidzialności, niesłyszalności i tak dalej.

Ileż tego czekania naraz, dzień, tydzień, miesiąc. Ktoś tam dzwonił, zapraszał, zamawiał - odsyłałem, bo praca (musiałem nakłamać], ach, pracuje pan nad czymś nowym - właśnie, mówię i odkładam słuchawkę, a tamci

nuże wici rozpuszczać: "znowu komponuje, szykuje coś"-diabli ich, ale interesują się, to dobrze, niech czekają, skoro i ja czekam, niech nasłuchują, skoro ja nasłuchuję, czy aby nie podjechała ciężarówka, czy aby mi nie przywieźli, słuchajcie, a znajdziecie, może wreszcie, może to właśnie dziś.

No, nie wiem, dlaczego to zabrzmiało jak oświadczyzny, ale cóż, stało się, już mi dusznością w gardle stanęły te wszystkie nasłuchy, już chciałem wyjść gdzie bądź, na manowce, wiosna przechyliła szalę, skwar, stopiony asfalt, chciałem na spacer, ale sandały kleiły się do ulicy, nie mogłem kroków stawiać, no i wróciłem, dzwonię, Anula, znowu mam żuczki, i zabrzmiało,

Anula ma w posagu plecy jak klawisze, chłodne i skore do pieszczot, Anula ma plecy nagie przy mnie, a w dolinie kręgosłupa głęboko wciętej mój serdeczny wędrowniś gra po cichu, jedną mruczącą nutę, piosenkę o gęsiej skórcie, mmm, mmm, to ci dopiero muzyka. Anula ma piersi hojne i święte, a sny na nich zapamiętują się w całości, jak filmy, mówi, żebym zapisywał, bo to przyszłość po ciemku szepcze. A ja ci się śnię, pyta. Śniesz, kochana, po to się budzę.

Szczęśliwie, świat wciąż ulega jakiejś matematyce anielskiej i kiedy worek z niedzianiem się pęka w szwach, dzieje się wszystko, że aż łatwo się zachłysnąć Głowa bolała już od nasłuchu, już nudności od tego, chciało się patrzeć, wachać, dotykać (Anuli, Anuli), byle nie słuchać, słuchanie spoczniej, rozejść się. No to zostawiłem ją na trochę w domu, żeby w razie tego pianina, a sam do parku, kości przewietrzyć, potem wracam, a tu: no masz ci, panowie już chcieli zabrać z powrotem, ledwo uprosiłam, żeby zostali, Anula zziajana, draby się śmieją z jej przejęcia, a ja uważam, żeby się nie zachłysnąć. Ostrożnie, uwaga na próg, tak instruuje na wszelki wy-

padek, bo chyba wiedzą, że łatwo rozstroić. O tu, pod ścianą proszę, teraz trochę dosunąć, ale powolutku, no, razem spróbujmy, hej, rrup. Ile należy się - nic, nic, my to wszystko mamy płacone, tylko ręce byśmy umyli, pokaże pan, gdzie łazienka. Anula pokazuje panom i na kompot zaprasza, a ja już sam na sam z klawiszunami, kosteczkami, podporami, świecznikami, uchwytami (zbytek, ale cóż), wszystko co do joty, i aż się boję tego pierwszego dźwięku, po takim czekaniu.

No i rak właśnie. Jeszcze klasterek lewą ręką, tylko po to, by tym bardziej zatęsknić za harmonią. Teraz obie ręce na najwyższej oktawie, popiskują, coraz ciszej, ciszej. Koniec. Doszliśmy do horyzontu. Żadnego akordu w puencie. Znienacka oklaski, Znacka całuję Anulę w brzuch. Przez okno pierwszy orszak światła. Właściwie oboje śpimy (ona nieco bardziej). Jestem oto w pełni, można policzyć wszystkie moje morza i kratery. Dzień się wdziera wróblami. I nagle pianino samo, brzdęk, brzdęk, nieporadnie, nieśmiało, dziecinnie, tak żeby nie przestraszyć, nie złamać kodeksów. Graj sobie, graj. matulu. Anula śpi twardo. Całuję ją znacka.

Szkieleciarki

Nie wiem, kiedy przymknąłem oczy. Tak to już jest - senność zwykle znienacka zakłada swoje pluszowe wnyki- Czuwałem przy babce sześć godzin, porównywałem cykanie wskazówek z rytmem oddechu; żyła. spała, albo udawała, że śpi, żebym był spokojniejszy. Wcześniej, za życia, to znaczy, kiedy była zdrowa, dzięki temu podstępowi mogła chrapać do woli - czekała, aż zasnę, dopiero wtedy pozwalała sobie na nocne *concerto*, powietrze tarło się w jej krtani jak o papier ścierny, a mnie się śniły koszmary tartaczne, piły tarczowe goniące mnie po wyrębach, aż złapany i cięty w pasie budziłem się z wrzaskiem i musiałem przycmokiwać babkę do po-

rzędu. I teraz zasnąłem, wbrew sobie, za to twardo jak po pijaństwie, dopiero o świcie oko mi się otwarło i od razu wyrzuty sumienia; przegapiłem parę godzin jej życia, teraz tym cenniejszych, że zagrożonych rychłym wyginieciem. Zerwałem się, patrzę, a ona już nie śpi, mówi do mnie:

- Ogól się, synku, będę umierać.

Kiedy się urodziłem, matka była za młoda, za głupia, więc zostawiała mnie babce na odchowanie. Ojciec był jeszcze młodszy, jednego wieczoru zrobił mnie i moją przyrodną siostrę, miał więc wybór i zdecydował się przyznać do tej drugiej, pożyli trochę bez ślubu, siostrzyczka niemowlęctwo spędziła w akademiku, ale studia się skończyły, więc i pożycie, zostawił w końcu obydwie i zwał poza zasięg przekleństw. Bez ojca, z matką od czasu do czasu, rosłem za to pod pieczę babki nad babkami, karmiony jej złotym milczeniem i kuchnią o sędziwym atęście. Ja byłem synek, ona babula, ale na Dzień Matki to jej dawałem kwiaty; rugała mnie i wysyłała do prawowitej rodzicielki. Nie chciałem tam chodzić, mać głupiała coraz bardziej, zmieniała kochanków podejrzanie często, mówiła, że wygania szmaciarzy, ale to oni odchodzili. Każdy już po paru tygodniach wyczuwał, że coś w tym mieszkaniu nierówno pod sufitem ułożone, że właścicielce przydałby się mały remoncik w klinice psychiatrycznej, a kiedy ona domyślała się, że się domyślają, zaczynała szaleć, wtedy już mieli bezpośredni dowód i powód, żeby po raz ostatni trzasnąć drzwiami. Nie mogłem tam pójść, ani mi się śniło, łąziłem więc godzinami po mieście, podglądałem żyrafy przez plot ogrodu zoologicznego i karmiłem je tymi kwiatami, rok w rok, w maju, bo wybieg miały na skraju i nie trzeba było wchodzić z biletem do środka.

Wróciłem z łazienki czysty, odświeżony, taki, jakiego mnie chciała widzieć po raz ostatni. Zobaczyła, zdążyła powiedzieć:

- Piękny jesteś, synku.

I plunęła krwią na pościel. I do bieli jej twarzy, kołdry i tapet wtargnęła nagle barwa wściekła, upiorna jak Armia, gęsta jak Morze, Stałem i patrzyłem, i zrozumiałem, że dotąd byłem tylko pokojowym strażnikiem, czułym obserwatorem, oczekującym na jakieś zakończenie estetyczne i niepozorne, na poczucie ulgi, że już po, że już z góry się przygląda, jak jej ciało zamykam powieki. Tymczasem babula mogła mnie tylko oczyma przekonywać, że to nic, że nie boli, że przeprasza za zamieszanie, tylko oczyma, bo mówić już nie miała siły, ostatnie jej słowo już padło. Człowiek się przez całe życie zastanawia, jakie słowo wypowie na końcu, a przecież zawsze jest tak samo, zawsze się kogoś wola, teraz już wiem. Babka powiedziała „synku”, „piękny synku” i to był koniec jej języka.

Trzeba było coś, tak, coś robić, tę pościel zmienić, ale musiałbym wtedy pójść po nową do drugiego pokoju, bałem się, że wtedy właśnie śmierć przyjdzie i nie będzie jej miał kto przegonić, babka z szyją bezwładną, odsłoniętą - kostucha wpiłaby kły od razu, bałem się. ale trzeba było coś, tak. Coś powiedzieć do niej, po ludzku, że jeszcze żyje. że póki tu jestem, złe jej nie porwie, że nawet ksiądz, gdyby był, poglądziłby i poszedł, a ja jestem, i choć mówić nie mogę, bo głos mi się zawieruszył, to będę do końca, a ten koniec jeszcze nie nadszedł, i choć wszelkie znaki, na pohybel znakom łyk wody. właśnie, zmoczyć ręcznik, nalać wody do szklanki, przynieść, przyłożyć do czoła, obetrzeć, napić, potem zmienić pościel, tak, w takiej kolejności, chyba.

Babka nie uznawała lekarzy, zresztą do niczego jej nie byli potrzebni, nie chorowała nigdy, mówiła, że u nas w rodzinie tylko dwa razy się choruje,

pierwszy i ostatni. No to nalałem w gacie ze strachu, kiedy się pojawił kłopot, gdzieś tak w szóstej klasie podstawówki, wiem, że się już wtedy nie lalo w majty, tym bardziej byłem załamany. Nikt nie lubił naszej matematyki. była tłusta jak masara, a tak się w domu nazywało najcięższe muchy, te brzęczące jak bombowiec, łązące po parapetach, bo nawet latać już nie mogły ze spasienia. Niczego nie rozumieliśmy ze skracania ułamków, a ja to już najmniej, masara miała w zwyczaju ujawniać wyniki klasówek od najlepszej w dół. no więc zawsze na końcu musiałem wysłuchać „...no i zdecydowanie najgorszy sprawdzian...”, Ale nie tylko o to chodziło, nienawidzieliśmy jej za linię, tę wielką, do kreślenia na tablicy, lubiła jej używać, za gadanie, za latające za jej plecami samoloty, za ściagi, za grę w chujja (zgodnie z ruchem wskazówek zegara słowo to wędrowało po klasie, przy czym każdy kolejny zawodnik musiał je wypowiedzieć głośniej od poprzednika, przegrywał ten przyłapany, chyba że się wycofał, ale wtedy na przerwie była ..sfora na cykora" i krew z nosa w najlepszym wypadku), wołała na środek i biła w otwartą dłoń, dopóki nie zobaczyła pierwszej łzy, a chłopaki trzymali się, oj trzymali, bo wtedy już się nie beczało, w szóstej klasie, więc przychodzili do domów ze spuchniętymi rękami. W końcu czyjś rodzic nie wytrzymał, zadzwonił gdzie trzeba, i doczekaliśmy się pożegnalnej lekcji z masarą. Od początku była jakaś stękająca, słonowata, nawet nie sprawdziła obecności, coś ram zaczęła mamrotać i wypisywać wzór na tablicy, aż nagle złapała się za serce i rąbnęła na ziemię, najpierw powoli zsuwała się po ścianie, ale w ostatniej fazie to był już lot prawdziwy, nieprzytomny; środek ciężkości, o ile go w ogóle miała, przechylił ją na stronę pleców, więc wyrznęła tyłem głowy o podłogę, aż w ostatniej ławce było słycać taki chrupot, że wszyscy od razu „ojessusmaria ”, dziewczyny w pisk, bo z ucha masary czerwony strumyczek wypłynął z

wolna. I właśnie wtedy poczułem, że jestem chory, na początku tylko swędzenie pleców, które wzięłem za ciarki normalne, wszystkich wtedy przeszły, ale to jakoś tak między łopatkami, gryzły, potem zaczęły kłuć, tak solidnie, i zrobiło mi się gorąco, i już nawet mnie nie interesowało, że ktoś poleciał po dyrektorkę, że się zaczął cyrk, pogotowie, masara na noszach przykryta w całości, nie żyje, nie żyje, wszyscy bez przerwy to powtarzali, ale mnie nie masary śmierć zajmowała, tylko moja, bo przecież byłem chory, plecy mi płonęły od gorączki i to znaczyło, że po raz pierwszy i ostatni, przyjdę do domu, babka się chwyci za głowę i powie „synku, tak młodo, jak mi cię żal”, i nalałem w majty, choć już się nie lało, i z płaczem wracałem, choć się nie płakało, ale wszyscy myśleli, że to przez masarę. A kiedy w drzwiach już do babki krzyknąłem „babciaa, coś mi się dzieje z plecami!”, ona mnie wzrokiem zmierzyła, jakbym coś ukradł, i zapytała:
- Gdzie widziałeś śmierć?!

Krztusiła się: nie mogła pić, zwilżyłem tylko jej wargi i przemyłem twarz, a kiedy się miałem zabrać do pościeli, szmery usłyszałem jakieś w pokoju, szmery, a raczej szepty i tupot, tupot wielu drobnych nóżek o parkiet. Spojrzałem na babkę, traciła świadomość, trzeba było działać szybko, szepty przybierały na sile i tupot przybierał, i wzrok wyteżając, mogłem je nawet zobaczyć, choć łatwiej było je sobie wyobrazić; były głodne. Mimo całego hałaśliwego rozgardiaszu tę myśl byłem w stanie wyodrębnić kostuchy wpadały w panikę, bo danie im stygło w łóżku, od którego odstraszał je mój widok; nie były przyzwyczajone, to był młodzieńki pomiot, wygłodniałe szczenięta. Nie umiały sobie poradzić, trzymały się na dystans i tylko ronily ślinkę, ale nie mogłem być spokojny - to była straż przednia, następny atak miał przeprowadzić znacznie chytrzejszy przeciwnik. Tymczasem babula zionęła duchem i daleko jej było jeszcze do wy-

zienia; położyłem dłoń na jej czole, żeby sprawdzić, jakie jest zimne, i wtedy właśnie otworzyła oczy, świadome, żywe, i na ryle sił nabrała, żeby dać mi nimi znak, że dziękuje, zaraz porem zamknęła, żeby nie męczyć powiek, albo nie widzieć rej, której się spodziewała, której się spodziewaliśmy oboje.

Nie żebym miał pretensje, byłem raczej ucieleśnionym dowodem na słusność przysłowia o pokornym cielęciu; nie żebym się domagał czegoś nad stan - z wiekiem uczyłem się bycia cierpliwym, a i poczucia, czy raczej przeczucia, że życie i tak powiedzie mnie bocznym torem, że wszystkie ekspresy powszedniości ominą mnie na bezpieczny dystans; uczyłem się wiary w demiurga, który jest logiczny i jeśli wymyśla kwiat, to tworzy i pszczołę; nie miałem wygórowanych ambicji-po prostu chciałem wiedzieć, kim jestem.

- Przyjdzie pora, to się dowiesz. Im później, tym lepiej dla ciebie - mówiła tajemniczo babka, kiedy ją wypytywałem o ciarki, o śmierć, o tę nienazywalną obecność we mnie. którą poczułem pierwszy raz na ostatniej lekcji masary; obecność, która nie była zdrowiem ani też chorobą; której nie pojmowałem, jak chłopiec nie pojmuje budzącej się w sobie męskości, póki nie doczeka nocy pierwszej zmayı i przebudzony w obcej lepkości rozpozna w niej siebie.

Pora przyszła zimą. Babka rzuciła mi kurtkę, szalik, sama się ubrała i wyszła bez słowa, kiwając tylko, że mam iść za nią. I poszedłem, dałem się zaprowadzić do nieogrzewanej rudery na peryferiach, gdzie po trzeszczących ażurowych schodach ciemną sienią doczłapaliśmy na poddasze. Wyjęła jakieś klucze i po omacku znajdując zamek, otworzyła, popchnęła drzwi i rzuciła w ciemność:

-Jesteśmy, córeczko. Już jesteśmy przy tobie.

Potem zapaliła światło.

Zobaczyłem matkę pierwszy raz od spotkania w parku irysów. Mieliśmy wtedy zastępstwo na wuefie, to znaczy, że chłopcy mogli grać w piłkę, a dziewczyny podlizywać się pani przy huśtawkach. Zanim doszliśmy („paarami przez jezdnię, paarami szybciotko”) do boiska, mijaliśmy aleję przy rabatkach, i w tej alei, oprócz zwyczajnych o tej porze rozseplenionych babć nad wózkami, siedziała ona, w kapeluszu nadgryzionym przez mole i sukni w czerwone maki. Paru chłopaków ją znało, więc mnie obkoczyli, „Patrz, twoja stara siedzi¹¹, a ja im, że pierdołą, chyba mojej matki na oczy nie widzieli, a oni „to jest twoja matka” i zaraz do pani i dziewczyn, „proszpani, proszpani, a to...”, i już jej donosić do ucha, a dziewczyny od razu „co, co, o co chodzi”, no to je mieli w garści, „tajemnica”, a one „no powiedzcie, nam nie powiecie” a oni „powiem, jak ładnie poprosisz”, a ja pobiegłem przed nich, kopiąc piłkę, że niby „no chłopaki, kto pierwszy na boisku”, ale nikt nie podchwycił, przechodzili przed matką i przyglądali się i przysłuchiwali, jak gada do siebie pod nosem, aż ich zauważyła i wybuchła takim bluzgiem, że aż pani się zapowietrzyła i zbita z tropu ochrzaniła dzieciaki „nie gapić się, nie zwalniać, idziemy, szybciej, szybciej”, choć sama nie mogła oderwać wzroku od takiego eksponatu szaleństwa, w biały dzień. Bo moja matka miała już fioła nieodwołalnego; nienawidziłem jej za to, ale i żal mi było tak potwornie, więc nienawidziłem jej jeszcze bardziej za to, że mi jej żal, już wolałbym, żeby chłopaki się nabijali, podchwyciłbym, „matka—wariatka”, i co z tego, jakoś bym w żart obrócił, ale nie mogłem znieść tego milczenia, bo nikt nie pisnął słówkiem. Tylko że to było milczenie poza mną, ciche porozumienie przeciwko mnie, oni się mnie zaczęli bać, wszyscy, łącznie z panią, i nawet nie wdawali się spe-

cialnie w dryblingu, nawet pozwalali mi strzelać z pola karnego, bo byłem synem schizofreniczki, lepiej mi się usuwać z drogi.

Zobaczyłem ją więc po raz pierwszy od tamtej pory, od czterech, pięciu lat, i jeśli nosiłem w sobie drzazgi, jeśli wołałem jej imię po to, by po przebudzeniu sobą gardzić, chodziło mi o jej obraz tak zapamiętany, teraz drastycznie odległy od prawdy. Bo prawda obecnie miała postać bladego truchła wtopionego w prześcieradła, które ku memu przerażeniu dawało bezdyskusyjne znaki życia rytmicznym charkotem, z jakim oddychało. Musiałem uwierzyć babce na słowo, zanim ujrzałem, zanim zechciałem ujrzeć w tym żywym szkielecie swoją rodzicielkę. Umierała nieprzytomna, tak jak żyła. Upór, z jakim oddychała wbrew prawom biologii, sprawiał wrażenie, jakby śmierć, zabiwszy w niej wszystkie funkcje organizmu, zapomniała o najważniejszym; jakby wymiatając kosą z pokoju wszystkie przedmioty i zamykając drzwi życia, zapomniała zgasić światło. Zapadałem się w podłogę jak w bagno, czułem mdlenie we wszystkich kościach, ale podszedłem za babką do barłogu. Kiedy odsunęła pościel, zobaczyłem, że powleczone skórą naciągniętą do granic szkielet matki by! w ciąży, i to tuż przed rozwiązaniem, tak olbrzymie przygniatało ją brzemię, tak potężny wydawał się jej brzuch; jakby przygniótł ją głaz i umierała pod nim powoli z głodu, bezskutecznie wzywając pomocy.

-To guz - powiedziała babka. Więc to śmierć miała się narodzić. - Nie może tak umrzeć. Musisz jej pomóc.

- Dobrze, babciu - odparłem, bo czułem, że tak właśnie być musi, że skoro babka każe, pomogę, choćbym nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi, a nie miałem.

Poznawałem tę ciszę.

Babka spała, lub leżała z zamkniętymi oczyma, ja przy łóżku siedziałem i czekałem na jakikolwiek znak, najdrobniejszy sygnał, żeby się skupić i odeprzeć kolejny atak - podczas gdy śmierć postanowiła ze mnie zadrwić; poznawałem tę ciszę. Tę flautę, kiedy do pomieszczenia, w którym czuwasz, przestają docierać dźwięki z zewnątrz; przestaje istnieć jakiegokolwiek zewnątrz, tak jakbyś w środku nocy usiłował się skupić na trudnej lekturze, i im bardziej usiłujesz, tym wyraźniej dzielą się zdania na słowa, słowa na litery, a te, miast cokolwiek znaczyć, stają się smutnymi szeregami kijanek, z których właśnie wylega się sen. I już robisz dzięcioła, wbrew woli, już cisza tętni ci w skroniach, staje się coraz głośniejsza, i wyłaniają się pierwsze fragmenty senne, takie streszczenie reklamowe, odcinek pilotowy, bo trzeba przecież zbudzić się raz jeszcze i zdobyć na wysiłek zgaszenia światła, potem już można rozłożyć zgiętą wpół poduszkę, wymościć się, ziewnąć i polec na prawym boku. Za bardzo się wsłuchiwałem, od nadmiaru czujności zacząłem słyszeć ciszę, a stąd już tylko kroczek do przepaści. Nie, podtrzymywanie powiek nic nie daje, spojrzenie i tak się rozmywa, jak przy oglądaniu stereogramu, można zasnąć, nie zamykając oczu; musiałem wstać, a żeby babki nie zbudzić, zamiast mówić do siebie, zamiast śpiewać czy choćby modlić się (to takie ludzkie), zacząłem chodzić po pokoju, tak zwanymi w dzieciństwie tiptopami, i liczyć je, siedemnaście stóp wzdłuż ściany z oknem, czternaście wzdłuż tej z drzwiami, nie spuszczać oczu z łóżka, nie zasnąć, liczyć. Robiłem właśnie trzecią rundę, kiedy, będąc akurat w najdalszym kącie pokoju, usłyszałem delikatne, ledwie zauważalne skrzypnięcie. Szczęśliwie, stare łóżko stęknęło, wierne swej pani. Kostucha prawie postawiła na swoim; zbyt się skupiłem na sobie, zbyt byłem pochłonięty walką z sennością, by zauważyć, jak przysiadła na łóżku, u babcinych nóg, gdyby nie sfatygowana sprężyna, przeoczył-

bym, psiakrew. Przynajmniej miałem satysfakcję, bo nieudany podstęp tak ją rozsierdził, że czując mój wzrok, przyłapana, pofolgowała sobie i zmaterializowała mi się w całości, wyraźnie owinięta w tiul, i zanim, sycząc wściekle, odpuściła, uciekła przed moim spojrzeniem (a łapczywie szukałem jej oczu), zanim głodna zwiłała do swej nory piekielnej, przypomniałem sobie, że ten okaz już skądś znam, że nie pierwszy raz z mojej przyczyny wpadł do studni, witając się z gąską. Dotknąłem stóp babki. Były lodowate i sine. Masowałem je, dopóki nie otworzyła oczu, póki nie dała znać, że wróciło jej czucie.

- Co mam robić? - spytałem tamtego dnia, kiedy mi przyszło asystować przy agonii kobiety, przed którą uciekałem całe życie.

Babka przytaskała taborecik, kazała mi usiąść tuż przy śmiertelnym barłogu i powiedziała:

-Skup się, a ją zobaczysz.

Nabrałem powietrza, zacisnąłem zęby i zacząłem wpatrywać się w tę scenę tragiczną, w obraz nędzy i rozpaczony człowieka już nie żywego, lecz też i wciąż jeszcze niepotrafiącego umrzeć. Patrzyłem, tak, ale nie widziałem nic ponad mękę nieludzką, i przypomniało mi się, że istniały czasy, w których ta kobieta zdolna była do uśmiechu, że udzielała mi odpowiedzi na pytania fundamentalne, na przykład rzucając z kuchni, że ce obok zet czyta się „cz”, a potem odrywała się od parzenia kawy i w zdumieniu zastając mnie nad książką, podnosiła ją i mówiła do siebie „mój Boże, dziecko, ty czytasz”, a potem prosiła, żebym przeczytał, co tu jest napisane na okładce, a potem słuchała, jak składam „po-czy-taj-mi-ma-mo”, i przypomniało mi się, że rozplakała się wtedy, nie wiedząc za bardzo, czy to ze szczęścia, czy z poczucia winy, płakała i śmiała się na przemian, być może nigdy później nie uświadomiła sobie z taką siłą, że jest matką; przypomniałem

sobie i patrząc na jej żalosne umieranie, pomyślałem, że sam powinienem teraz zapłakać, ale mój żal znalazł inne ujście, poczułem w łopatkach mrowienie, które zaczęło narastać nieznośnie, boleśnie, już miałem krzyknąć, że tego dłużej nie wytrzymam, gdy zobaczyłem tiul, postać szczelnie otuloną w czerń, siedzącą okrakiem na wydętym brzuchu mojej matki, zaciskającą na jej krtani kościste palce, rytmicznie rozluźniające ucisk na ryle, by matka z najwyższym trudem mogła łąpać powietrze, by nie mogła się udusić, lecz musiała się dusić bez końca.

- Widzę ją - powiedziałem, a babka, która wciąż stała za mną i czekała na odpowiednią chwilę, wydała mi polecenie głosem tak opanowanym, jakby była ordynatorem nadzorującym operację chirurga-beniaminka:

-Teraz spójrz jej w oczy.

Oprócz śmierci złej, w jej plugawych wcieleniach, z których poznałem ledwie część niewielką; oprócz śmierci dobrej, której musiałem torować drogę - prócz tych śmierci przypisanych ludziom mającym czas umierać jest jeszcze śmierć nagła; wobec niej niczego nie można przedsięwziąć, tę zauważa się dopiero, kiedy się najadła duszą i już jej nie ma; zauważa się jej ślady, nie ją samą. Krąży jak krogulec nad autostradami, lecz widać tylko rany po jej szponach, kiedy odleci.

A jednak i tę udało mi się przegonić, przypadkiem, to jasne, bo też i sama nim jest, niczym więcej.

Patrzyłem, ale nie widziałem, jak to w autobusie, kiedy się zapomni gazety i zamyśli, przez szybę ulatuje do ciepłych czasowi patrzyłem, ale widziałem może gdzieś tak ćwiercią oka, że krzaki, drzewa, że mijane auta, jakieś domy, normalny pejzaż wzdłuż szosy, ale wystąpiło jakieś zakłócenie nagłe, gwałtowne hamowanie, skupiłem więc pozostałe trzy czwarte wzro-

ku i zobaczyłem, że auro za szybą, kołami do góry, leci, I przez mgnienie tylko, odprysk chwili, napotkałem przerażone spojrzenie kobiety, której świadomość nie nadażała za akcją, bo spała na tylnym siedzeniu i zdążyła dopiero otworzyć oczy, lecz w tym kawałeczku czasu niezbędnym do przebudzenia, w którym to, co widziane, wpisuje się w świat-sprzed-za-śnięcia, w tym błysku akurat wydarzyło się wszystko, co miało się wydarzyć, najmocniejszy, bo ostatni akord życia: poślizg, dachowanie i drzewo. Drzewo, które czekało z krogulcem na gałęzi, ale nie doczekało się przede mną, przez mój z tą kobietą kontakt najkrótszy z możliwych; samochód minął pień o centymetry i koziołkując, osiadł w trawie, bezbronny jak żuk na plecach, a jedno koto wirowało jak szalone ze strachu, kręciło się siłą bezwładu, kiedyśmy wyskoczyli z autobusu i pobiegli, my - to znaczy ja, szofer i jeszcze dwóch odważnych, bo gapie musieli odczekać, aż ich ktoś wyręczy, pozycja gapia zawsze jest za czyimiś plecami, i kręciło się to koło, kiedyśmy biegli i widzieli, jak przez okna wybite wyczołguje się młody kierowca i jego rówieśnik z przedniego siedzenia, i kiedyśmy dobiegli i pomogli wyciągnąć z tyłu tę kobietę, jeszcze przytomną, bo jęczącą z bólu i strachu, połykającą łzy i krew, i kręciło się, choć już nieco wolniej, kiedy chłopak-kierowca mówił do niej „no mama, nie rób afery, nic się nie stało”, kiedy ten z autobusu usiłował złapać zasięg i wezwać pogotowie, kiedy usiadłem przy niej i zrozumiałem, że żadnego pogotowia już tu nie potrzeba, kiedy złapałem ją za rękę, odgarnąłem z czoła zlepione krwią włosy i pomogłem zgasnąć, dopiero wtedy przestało się kręcić. Spojrzałem na drzewo. Czuję, że gdzieś tam siedzi, zawiedziona. Nagła, Krogulec.

Ja nie ratuję ludziom życia, nieśmiertelność byłaby najperfidniejszą igraszką losu dla tych, którzy już do umierania dojrzeli; nie, nie życie, ja ratuję

ludziom śmierć. Tej kobiecie z autostrady przedłużyłem życie tylko o tyle, by zdążyła pojąć, że umiera, by nie była bezradna, za moment stojąc w drzwiach jak uczennica, która spóźniona pomyliła klasy. Mojej matce żadnej świadomości przywrócić już nie było można, ale trzeba było przywrócić jej godność.

Kiedy spojrzałem w oczy siedzącej na niej kostuchy, wszystko potoczyło się błyskawicznie, chwilę później wiedziałem już, do czego służyć, babka nie musiała mnie więcej instruować, nawet ciarki znalazły swoje logiczne miejsce. Tam nie było nic. Nie, tam było nic. Nie żadne puste oczodoły, ale też nie oczy; po prostu Nic ziejące, obecne, jakbym zajrzał przez dziurkę od klucza w antymaterię. Pojąłem, że żaden ludzki umysł nie mógłby znieść potworności tego kontrastu; pamięci świata żywego, w miliardach wcieleń ludzkich i zwierzęcych, w całym jego ruchliwym ogromie, w nieskończoności wiecznych narodzin, wszystkiego tego, o czym wiedziałem, że jest w tej chwili, w tylu punktach jednocześnie - w zestawieniu z Niczym, które patrzyło na mnie, oczekując, że mózg mi pęknie jak bańka mydlana. Byłem równie zdziwiony jak ona, że nie pękł. A kiedy już zrozumiała kostucha, że musi ustąpić, dać się oderwać jak kleszcz wykryty w pachwinie, poczułem, że puste miejsce, lub też wypełnione niczym, nagle przybiera o ileż słabszą, znajomą, jakże ludzką postać nienawiści. I to ją pogrzebało. Zdechła, Rozsypała się na stertę kości, mógłbym nią nakarmić psa.

To była pierwsza zła śmierć, którą zabiłem.

Matka przestała charczeć- Pochyliłem się nad nią - oddychała miarowo, spokojnie, choć dziwiło mnie, jak mało potrzebuje powietrza, A potem przybyło to, co babka nazwała dobrą śmiercią. Byłem zbyt wyczerpany, żeby cokolwiek zobaczyć, ale przeszło tuż obok, liznęło moje plecy, opa-

rzyło zimnem, zostawiając na łopatkach ślad wilgoci, i znowu mnie mrowiły, dużo silniej niż kiedykolwiek, jakby się zmieniły w skrzydełka, jakby się miały lada moment uwolnić, wywiercić mi dziury w skórze i polecieć samodzielnie, jak papierowe samoloty. To było żywe, choć było śmiercią, bo jednocześnie zdmuchnęło moją matkę jak kłębek kurzu, ale też poniosło ze sobą, kędy chciało. Zostało nam po mamie martwe ciało, dla którego czas miał już płynąć w drugą stronę, synteza ustąpiła analizie, trzeba się było zająć formalnościami; już nie pamiętam, babka się znała na takich rzeczach. Wiedziałem tylko tyle, że matka jest gdzie indziej - nie dusza, to nie takie larwę, czułem po prostu, że *rigor mortis* rozpoczął się już po, by tak rzec, jej wyjściu; ale dokąd poszła i co z niej wyszło, nie miałem pojęcia. Czułem jednak sens, konieczność tej chwili, czułem, że cokolwiek dotyczyło teraz jej nie-życia, było właściwe, że wsiadła do odpowiedniego autobusu, a ja dopilnowałem tylko, by nikt jej nie zaczepił na przystanku.

Kostuchy się regenerują. Chociaż nie wiem, to tak jak hydra, dwa łby wyrastające w miejsce jednego uciętego. Coś jakby one jest albo ona są. Jedność w wielości. Tamta zdechła na moich oczach, to pewne. A teraz pogońnię ją, dokładnie tę samą, znad łóżka babki.

Znowu czekałem. Babka była dla nich smakowitym kąskiem, mogłem sobie wyobrazić, jak lepka jest podłoga od ich jadowitej śliny.

Przyszła do mojego pokoju niedługo po tym, jak umarła mama.

Samotne kobiety pod koniec życia mają obsesję oszczędzania, odmierzają minimalne ilości węgla, który trzeba dołożyć do pieca, parzą herbatę po kilka razy z tej samej torebki, nawet cukierki, którymi karmią wnuki podczas corocznych zlotów rodzinnych, pochodzą z jednej, kupionej przed laty paczuszki i kruszą się ze starości po odpakowaniu. Moja babka przez

cafe życie oszczędzała jedynie słowa. Mówiła dokładnie tyle, ile trzeba było, by ją zrozumieć. Wydawało mi się, że kiedyś musiała spotkać Cyganke, która wywróżyła jej konkretny limit słów przypisanych na życie, po którego przekroczeniu traci się mowę. Więc odmierzała, żeby się nie przeliczyć, żeby nie usłyszeć nagle od licha „fura” i nie zostać z martwym językiem w ustach. Dlatego na zawsze zapamiętałem monolog, na który zdobyła się tego dnia, wykorzystując odkładane przez lata zdania; monolog, który przekazał mi jej wiedzę w sposób pełny i absolutny, raz na zawsze zdejmując ze mnie balast tajemnicy.

- Synku, to już w tobie dojrzało. Zrozum, ludzie najczęściej nie potrafią żyć, dlatego by więc mieli umieć umierać. Śmierć jest złośliwa, lubi dla siebie wykradać tych, którzy o niej pamiętają za życia z nadzieją na zbawienie. Zajrzałeś jej w oczy, więc wiesz, że w piekle nic nie ma. Choćbyś tam wpakował całą umarłą ludzkość, pozostanie zawsze puste. Wiesz, bo to zobaczyłeś, dlatego ona się ciebie boi. Ona albo one, jest ich dużo, ogromnie dużo, tyle, ilu Judzi stąpało po ziemi, i mnożą się z dnia na dzień, z każdym zakończonym życiem przybywa jedna, a wszystkie naraz są jedną i tą samą kostuchą, którą wiecznie ssie głód. Czasem się pasą dłużej, żrą powoli, jak twoją matkę, czasem od razu połykają całość. Z tych ludzi nic nie zostaje. Ale twoje czuwanie wystarczy, żeby je przepędzić. Twoje spojrzenie. Więc wiesz, że coś zostaje. Jak z matką - przychodzi ta lepsza śmierć i nie zgniata, tylko zabiera. Dokądś. Ty jesteś jej odzwiercieniem, pamiętaj o tym. Zaszło mi w gardle.

I skończyła. Poszła się napić kompotu.

Śmierć nie ma płci; mówiliśmy o „niej”, nie o „nim”, bo język nas przyzwyczaił, ale i to, że zdarzało się jej przybierać płęć ofiary. Zresztą, możliwe, że wykpiwała moje wyobrażenia zakorzenione w potoczności, sło-

wem: kostucha w czarnym tiulu była jednym z wizerunków, których oczekiwałem i doczekałem się. Ale nie jedynym. Przeczynałem, że o babkę przyjdzie mi stoczyć bitwę, podczas której zobaczę więcej, niżbym się mógł spodziewać. Jakbym zapomniał, że właśnie mojego spojrzenia śmierć się bała. Dopóki było świadome. Dopóki nie spałem, choćby z otwartymi oczami. Dopóki mogłem nie tylko patrzeć, lecz i widzieć, śmierć szalała ze strachu. Chyba że sam bym oszalał.

Najpierw poczułem smród. Trupi fetor. Zewsząd.

Smród tak stężały, że mogłem go zobaczyć, usłyszeć, poczuć nie tylko nosem, ale wszystkimi zmysłami jednocześnie. Jakby zaczęło gnić powietrze, to wokół, ale i to we mnie, wdychane, w płucach, w mózgu, we krwi. I opadać płatami martwego mięsa. Jakby". „Jak gdyby". Bo to była halucynacja, przemyślnie we mnie wywołana. Jeśli omam wzrokowy można unicestwić, zamykając oczy; jeśli coś, co się słyszy wbrew woli, można uciszyć, zatykając uszy - jak zniszczyć urojony smród? Przestać oddychać? Tak podpowiadał instynkt, dając się nabrać na ten podstęp; ale wstrzymałem oddech tylko po to, żeby w końcu ze zdwojoną siłą zachłysnąć się cuchnącym powietrzem, I zwymiotować, A wymiotując, człowiek jak rzadko kiedy jest skupiony na sobie; najpodzielniejsza nawet uwaga na ten uporczywy moment spaja się w jedno, cała poświęca się czynności bolesnych narodzin ulgi. Toteż dałem się odciągnąć. W pozycji upokarzającej, na kolanach zwracałem raz za razem nagłe przekonanie o zgorzeli świata, sumienia, o nieuniknionej martwicy, jaka od zarania ogarnia wszystko, co ziemskie; „życie nie żyje", mówił do mnie smród, więc rzygałem; „po co się męczyć, po co się łudzić, wszystko jest martwe już w chwili narodzin, śmierć wynajmuje ludziom życie, ale w końcu zawsze upomina się o swoją własność", mówił odór, więc rzygałem na kolanach, patrząc bezsilnie na

łóżko babki, „zadręczasz tę starą, zameczasz, nie ma już sił wisieć nad przepaścią, pozwól jej umrzeć, po prostu zniknąć, wiesz, jaka to ulga zniknąć?”, ulga, więc rzygałem jak uczeń na pierwszej imprezie, ustami i nosem, i krztusiłem się, i zalewałem łzami, całkiem już ku sobie zwrócony zwracałem, bo ten fetor się zwracał do mnie mdlącą beznadzieją, i nie można mu było spojrzeć w oczy, więc nie wiedziałem, co robić, aż tu ciarki. Od łopatek mrowiących wzięło się jakieś wahnięcie moje, dwóch rzeczywistości nałożenie na siebie i zrozumienie nagie, oddzielenie prawdy od iluzji, życia od śmierci, smrodu od powietrza. Takie uszczypnięcie tych moich mrowiących żagielków, na alarm mrowiących, bo kiedy bielmo smrodu mi z oczu opadło, zobaczyłem, że babka już kona, ostatecznie, finalnie, że już. już finiszuje jej życie tuż przed linią mety. I to w sposób wielce niestosowny.

Obsiadły ją całą. Trzymały ręce, nogi, jedna siedziała na piersiach, inna u wezglowia pochylona wysysała babce oddech z ust. Za dużo ich było, wzrok mi pisał, nie mogłem się zdecydować. I nagle wszystko się odwróciło, i zupełnie poplątałem, zapomniałem, tego nie mogę sobie dokładnie, ech. We mnie patrząca, patrzące. Gdzie indziej (nie oszaleć, nie oszaleć, babka umiera).

...świt. morze, cykady jak żabo-ptaki, jak gadające szyszki, do wody. na brzegu leży naga. bliżej, nie naga, w mokrym tiulu, przezroczystym, mówi,..

- Przeceniłeś się. Mam właśnie na języku jej ostatni oddech. Nawet nie możesz tego zobaczyć. Ale nie czuję takiego głodu, jak ci się wydaje. Chcę, zanim.., a może w zamian, skoro tak ci zależy. Możesz ją sobie zatrzymać, niech umiera, jak chce. Tylko proszę, chłopcze, proszę cię o jedno...

...wstaje, podchodzi, wyciąga rękę...

- Zatańcz ze mną.

Kostucha zeszła z łóżka i przyłgnęła do mnie. Jakbym przymarzył do metalowego płotu. Nie do oderwania. Krok w krok, tanecznie, wdzięcznie przytulona. Odciągałem ją stopniowo od łóżka. Nie było muzyki, był stukot kości. Już nie tak zimnych. Ciarki szalały. Jakbym się palić zaczynał od pleców. Odciągałem. Ścisnęła mnie coraz silniej, coraz cieplejsza. Odciągałem ją w tym głuchym tańcu, żeby zrobić miejsce na dobrą śmierć dla babki. Plecy, rany boskie, jak żywcem obdzierane.

I nagle przysła. Dobra. Technienie. Na chwilę się zawahała przy łóżku, jakby w zdumieniu patrząc na nas w kącie tańczących. I wyjęła z babki życie. I zabrała. Dokądś.

A kostucha miażdżyła mi ręce, już całkiem gorąca, jak w tangu, ścisnęła z rozkoszy. A łopatki wyrzynały mi dziury w plecach, I bolałobolałobolało, aż ona nagle spojrzała na mnie, prosto w oczy, całą tą swoją pustką, puściła, odeszła pół kroku i szepnęła:

-Tak dawno nie tańczyłam...

I zaczęła się palić. Najpierw tiul, potem skóra i kości. I płonęła szczęśliwa, chichocząc, jęcząc, wrzeszcząc:

- Jak ciepło, jak ciepło, nareszcie, c i e p ł o!!

Nie miałem sit, wyłem z bólu (plecy nie do zniesienia) i zakręciło się w głowie, i pociemniało.

A potem, po ocknięciu, zobaczyłem kupkę popiołu na podłodze. I babce przymknąłem oczy. I dopiero wtedy zrozumiałem, że już nie boli. Pomacałem ręką, poszedłem sprawdzić, stając bokiem przed lustrem. Wyrznęły się.

Skrzydełka.

Spis rzeczy

Diobół

Cobyś widziół

Pieron ognisty

Ttadzik

Winniczek (apokryf)

Trzydzieści trzy pytania

Zianie

Nasza patronka między różami

Malizm reagiczny

Ikra Boża

Chłopowiadanie

Impromptu

Szkieleciarki